Nr. 15 CENA 30 GR. ROK I

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji 11.—13. Administracji 17—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

TREŚĆ NUMERU:

I. GRÜNBAUM	—	Droga Nahuma Sokołowa
LEOPOLD HALPERN	—	Reprezentacja
A. G. ARCI	—	Sąsiedzi
LEGENS	—	Chłopi
INŻ. A. GLIZER	—	Niby błaha historia...
DR. M. WEISSMAN	—	Od Choińskiego do ks. Trzeciaka
LEON BAUMBERG	—	Marmury i starość
STEFAN POMER	—	Pokłosie poezji żydowskiej
APELLA	—	Anioł przy linotypie
ROMAN BRANDSTAETTER	—	Hamlet i Ofelja na wsi (poemat)
A. AWERCZENKO	—	Sprawy miłosne Filimona Busykina
WANDA KRAGEN	—	Poeta, który pisze prozą
A. BEN—ZEW	—	Z literatury syjonistycznej
J. LESER	—	List teatralny

16 maja 1937 WARSZAWA 6 Siwan 5697

I. GRUNBAUM

DROGA NAHUMA SOKOŁOWA

(W pierwszą rocznicę zgonu)

Gdy w siedemdziesiątych latach ubiegłego stulecia młody podówczas Sokołów rozpoczął działalność literacką na łamach „Hacefiry", żydostwo polskie opanowane było z jednej strony przez chasydyzm i jego cadyków, a z drugiej przez asymilację i jej przywódców, którzy na ulicy żydowskiej byli szerzycielami kultury polskiej i polskiego poczucia obywatelskiego. Obie te siły podzieliły między sobą władzę nad społeczeństwem żydowskim. Życie świeckie powierzone zostało pieczy i kierownictwu przywódców asymilacji, podczas gdy życie religijne stało pod znakiem władzy cadyków z obozu chasydów z rabinem z Góry Kalwarii na czele. Zarząd gminy żydowskiej w Warszawie, w której Sokołów żył i tworzył, był niejako symbolem tego dualizmu.

Sokołów wyrósł ze świata chasydzkiego i wszedł w świat asymilacji. Rychło go jednak opuścił i zbudował sobie własny świat, świat hebrajskiego „maskila", który przemawia do swego narodu w hebrajskiej mowie, który tworzy dlań specyficzną hebrajską kulturę, który w pracy swej czerpie tworzywo zarazem z prastarych źródeł żydowskich oraz z całego skarbca europejskiej i polskiej kultury. W swej działalności kulturalnej postawił sobie Sokołów jako zadanie naczelne szerzenie wśród żydó wiedzy i nauki, znajomości świata i jego kultury, ogólno-ludzkiego wykształcenia, połączonego z wiedzą żydowską. W hebrajskiej „Hacefirze" głosił i uczył świecką kulturą i naukę, a w polskim „Izraelicie", ówczesnym organie asymilacji, nawoływał do poznawania żydostwa i żądał wierności dla jego zasad.

Sokołów nie wypowiedział wojny ani chasydyzmowi, który nie wychodził poza ciasny krąg swych zmurszałych tradycji, uciekając od pozostałego burzliwego świata, — ani asymilacji, która co raz bardziej oddalała się od żydostwa. Sokołów nie był też w swej młodości człowiekiem walki. Wyjaśniał jeno, głosił, pouczał, popularyzował, wskazując Żydowi ową drogę „złotego środka", po której ma kroczyć. Każde Jego słowo nacechowane było głęboką mądrością, oraz niezwykłą powagą i rozwagą.

Toteż był Sokołów lubiany przez całe społeczeństwo żydowskie, i to zarówno przez jego część oświeconą, jak i przez chasydów i asymilatorów. I jedni i drudzy uważnie przysłuchiwali się Jego słowom.

*

W osiemdziesiątych latach minionego stulecia rozpoczął się okres pogromów antyżydowskich w Rosji i w Polsce. W Południowej Rosji napadano po miastach na Żydów, bijąc ich i rabując ich mienie. Również Warszawa nie ominęła plagi pogromów. Władza carska chciała wykazać, że i polska Warszawa nie jest wolna od zarazy pogromów; i udało jej się to znakomicie. W oświeconych kołach żydostwa rosyjskiego poczęła się w owym czasie, pod wpływem pogromów, chwiać ideologia asymilatorska i żydostwo to szukać poczęło nowej drogi, drogi wyzwolenia. Pojawił sij Pińskier, który proklamował ideę autoemancypacji w odróżnieniu od emancypacji, która jest dziełem obcych rąk. Obudziła się młodzież żydowska, a w ślad za nią masy hebrajskich „maskilów" i bardziej oświecone elementy mieszczańskie — rozpoczął się ruch „Chibat-Cyjon". . . . . .

Również wśród żydostwa polskiego ruch ten zataczał co raz szersze kręgi. Sokołów jednak doń nie przystąpił; przeciwnie — oddalał się odeń. Trudno orzec, czy stało się to z tego powodu, że pogrom warszawski miał specyficzny charakter, bowiem potępiony został przez społeczeństwo polskie, które wyraziło Żydom współczucie czy dlatego, że dla Sokołowa zbyt ciasne były ramy ruchu „Chibat-Cyjon", w którym nie znajdował on idei prawdziwego odrodzenia, czy wreszcie dlatego, że Sokołów nie widział w tym ruchu siły, któraby była zdolna dokonać wielkiego dzieła wyzwolenia żydostwa. Faktem jednak jest, że przez cały okres rozwoju „Chibat-Cyjon" Sokołów stał na uboczu; śledził za tym ruchem badawczym swym spojrzeniem od czasu do czasu krytykował go, ale nie brał w nim udziału, kontynuował swą pracę w „Hacefirze" i w „Izraelicie", uczestniczył w każdym społecznym przedsięwzięciu, poświęcając swe siły badaniu położenia Żydów i walce z ludowo-klerykalnym antysemityzmem, który począł się w owym czasie rozwijać w Polsce, a który proklamował hasło ekonomicznego bojkotu antyżydowskiego.

Gdy ukazało się epokowe dzieło Herzla „Judenstaat", gdy w świecie żydowskim pojawił się wódz narodowy, który wskazywał uciskanym masom drogę wyzwolenia i odrodzenia, — Sokołów tkwił jeszcze głęboko w swej polsko-żydowskiej pracy kulturalnej, obracał się jeszcze w świecie małych przedsięwzięć, mających na celu niesienie pomocy Żydom, szerzenie wśród nich polskiego uświadomienia obywatelskiego oraz tworzenie nowej kultury hebrajskiej.

Dopiero gdy Sokołów widział Herzla i przysłuchiwał się jego mowom, jak zresztą całym obradom pierwszego Kongresu Syjonistycznego, począł wierzyć w twórcę politycznego syjonizmu i w głoszoną przezeń naukę — i poszedł za nim, jak wierny uczeń za swym mistrzem.. Od tej chwili Sokołów poświęcił całe swe życie i całą swą energię twórczą idei żydowskiego renesansu narodowego, pracy nad odrodzeniem narodu i jego kultury w historycznej naszej Ojczyźnie, Palestynie.

A był to okres burzy i rozkwitu w żydostwie rosyjskim w ogólności, a w polskim w szczególności. Okres szukania nowych dróg i krystalizowania się dążeń. Sokołów pracuje bez wytchnienia, głosząc nowe idee w słowie i piśmie, w swej hebrajskiej i polskiej gazecie, na zgromadzeniach publicznych i w ciaśniejszym gronie swych przyjaciół i znajomych. Dom Jego staje się ośrodkiem budzącej się i krystalizującej myśli żydowskiej oraz miejscem spotkań dla czołowych żydowskich przywódców i myślicieli, jak również dla młodzieży, która chciwie wchłania każde słowo Mistrza.

Sokołów apeluje do chasydów i pobożnych Żydów, uprzystępnia dla nich i przystosowuje do ich uczuć i mentalności nową naukę. Zwraca się do oświeconych asymilatorów, wykazując im jałowość i nicość ich ideologii.

W owym czasie wzrasta niebywale Jego siła twórcza. Styl Jego i sposób pisania stają się co raz bardziej europejskie, lekkie i pełne esprit, bogate i proste zarazem. Pisze mnóstwo artykułów i felietonów, notatek, essay'ów, tłumaczy na hebrajski Herzla „Altneuland", szerząc w ten sposób swą wiedzę hojną ręką, jak bogacz, który posiada nieprzebrane skarby.

*

Nadchodzą czasy pierwszej rewolucji rosyjskiej; twórczość hebrajska w Polsce przeżywa okres przemijającego kryzysu i dla Sokołowa zbyt ciasne się stają ściany Jego ojczyzny, polsko-żydowskiej społeczności, którą tak wiernie i godnie reprezentował. Udaje się w szeroki świat i zaczyna działać w łonie światowego żydostwa. Ciężkie wówczas przeżywał czasy. On, dostojny i wytworny dżentelmen, wciągnięty zostaje w wir walk wewnętrznych. Nikt jednak — prócz najbliższego jego otoczenia — nie wiedział, ile mąż ten przecierpiał, ile musiał z siebie wydobyć samoopanowania.

Ta walka wewnętrzna zakończyła się i Sokołów wstąpił do kierownictwa ruchu. Rychło przychodzą rozstrzygające lata dla losu syjonizmu, ostatni okres wojny i pierwszy okres pokoju, i Sokołów ukazuje się nam jako polityk i dyplomata, który przed władcami narodów roztacza obraz żydowskiej niedoli, który na arenie międzynarowej głosi żydowskie dążenia i nadzieje. Bierze udział w pertraktacjach z Anglią i Francją, z Włochem i Stolicą Apostolską, z Ameryką i Polską. Stoi na czele tych, którzy formułują żądania Jego narodu i którzy otrzymują deklaracje sympatii i uznania od narodów świata.

Po tym wspaniałym okresie przychodzą czasy, które stoją pod znakiem urzeczywistnienia idei, szukania środków, propagandy wśród skupień żydowskich w diasporze, otwierania źródeł nowych sił twórczych.

Sokołów wędruje z kraju do kraju, okrąża całą kulę ziemską, oświeca, propaguje, poucza, żąda, budzi, przenika do głębin ukrytej w sercach rodaków energii narodowej wydobywa z niej nieprzebrane zasoby sił twórczych dla dzieła odbudowy, odrodzenia i wyzwolenia.

Nie przerywa przy tym swej działalności kulturalnej i literackiej. I znów widzimy Go w roli bogacza ducha, trwoniącego niespożyte swe skarby szerokim i serdecznym gestem. I znów widzimy Go w roli szlachetnego, wytwornego dżentelmena, pełnego zarazem najwspanialszej prostoty, który ucieka od polemicznych sporów i tarć, który nie lubi grzebania się w teoriach, nie prowadzących do czynu.

*

Tak żył i tworzył Sokołów — Człowiek, młody, rzeźki i pełen sił twórczych do ostatniej chwili Swego bogatego i barwnego życia. Właśnie rychło przed zgonem wezbrało źródło Jego twórczej energii, tryskając z podwójną siłą i mocą. Wielki, bogaty plan miał Zmarły dla naszej pracy kulturalnej plan, któryby wzbogacił skarbiec naszej kultury o jeden jeszcze wielki drogocenny twór. Marzył, że osiądzie jeszcze wJerusalem i tu tworzyć będzie dla odrodzonej kultury hebrajskiej. Ale przyszła groźna śmierć i wyrwała Go z samego ognia pracy, gdy siedział przy swym biurku i pisał, pisał dla wiecznej kultury Swego wiecznego narodu.

Leopold Halpern

REPREZENTACJA

Żydostwo polskie znowu znalazło się w sytuacji, w której konieczność politycznego zorganizowania się jest szczególnie doniosła. Nie dlatego, żeby odpowiedzią na hasło „narodowego zjednoczenia" społeczeństwa polskiego miało zaraz być przetłumaczenie go na żydowski. Polityczny realizm wskazuje, że od rzucenia hasła do jego urzeczywistnienia w sposób, propagowany przez kierowników „Ozonu", oraz w ramach tworzonej przez nich organizacji — prowadzi, w każdym razie, bardzo długa droga; zresztą sami kierownicy O. Z. N. odgraniczyli się od monopartyjnych koncepcji. I nie dlatego Żydzi polscy winni się organizować, że zagraża im aktualnie „zjednoczenie się" w mniejszej skali, ale o większym natężeniu antysemickim: alians sanacyjno-endecki — jak dotąd, bowiem, hojne komplementy, sypane do stóp Romana Dmowskiego, pozostają bez wzajemności.

Nasza sytuacja polityczna ulega zmianie na gorsze niezależnie od udania się koncepcji zjednoczeniowych, tak, jak je sobie wyobrażają inicjatorzy O.Z.N. Albowiem bez względu na dalszy rozwój wypadków jedno słowo propagandowe staje się ciałem: *antysemityzm*. Nie wiadomo jeszcze, czy hasła nacjonalistyczne i „kulturalno" — antysemickie spełnią rolę pomostu pomiędzy nowym obozem a endecją albo kołami społeczeństwa, które dotąd ją popierały — jedno wszakże stało się już polityczną rzeczywistością: „Ozon" zdecydował się na budowę tego pomostu, więcej, wzniósł już nawet jego pierwsze rusztowania! Zatem nowy partner antysemicki? Nie są to dla nas straszne rzeczy, skoro z tylu partnerami mieliśmy już do czynienia. Ale O.Z.N. jest w swej istocie silniej związany z rządem i z jego polityką niż normalny obóz rządowy; posiadając aprobatę najwyższych czynników oficjalnych państwa. Czy tu wytryska źródło nowych niebezpieczeństw politycznych dla żydostwa polskiego? Właśnie. I chociaż nie jest dla nas także nową rzeczą polityka rządu na odcinku żydowskim, to jednak stwierdzić należy że do lat 1935-36, niezależnie od jej *faktycznych* efektów, *formalnie* prawie zawsze była ona wolna od jawnie antysemickich akcentów. Niebezpieczeństwo zmian również w tej płaszczyźnie jest dla nas najistotniejszym momentem dokonywujących się w oczach naszych przeobrażeń.

Albowiem niezależnie od tego, czy rząd rzeczywiście zdecyduje się także na formalną zmianę polityki w stosunku do żydowskiej mniejszości narodowej, niektóre fakty wskazują już teraz, że najmniejsze bodaj rozluźnienie pewnych, choćby czysto moralnych i formalnych tam, powoduje wnet powódź antyżydowskich efektów. Spójrzmy choćby na bogate w treść wydarzenia ostatnich dni! W obecności nowego wice-ministra sprawiedliwości adw. Chełmońskiego odbywa się zjazd restytuowanego Związku Adwokatów Polskich, a jego obrady i uchwały rozbrzmiewają jedną tylko nutą: ograniczenia dla prawników Żydów. A odbyte w tym samym czasie walne zebranie Związku Lekarzy uchwala wręcz — paragraf aryjski. Czy rzeczy te — i wiele innych — przychodzą ot tak sobie, bez żadnej centralnej przyczyny, bez wpływu nowej... atmosfery?

Jeśli więc na tle tych warunków wskazujemy na konieczność politycznego zorganizowania się żydostwa polskiego, to za moment pierwszy, który nas obecnie skłania do realizowania tej myśli, uważamy właśnie ową atmosferę i tkwiące w niej zarodki przyszłych niebezpieczeństw dla całego społeczeństwa żydowskiego w Polsce.

*

Moment pierwszy nie jest momentem jedynym. Wskazuje on tylko na *konieczność* zorganizowania się społeczeństwa żydowskiego, ale nie mówi jeszcze o *możliwości* osiągnięcia tego. Momentem drugim, który wypływa z obecnej sytuacji, jest właśnie powstanie takich obiektywnych możliwości.

Projekty politycznego zorganizowania żydostwa polskiego wcale nie są nowe. Narodziły się one jeszcze u zarania Niepodległości, w różnych okresach były nawet *częściowo* realizowane, ale nigdy dotąd nie zdołano osiągnąć ich całkowitego urzeczywistnienia. Składały się na to w różnych czasach różne przyczyny, w okresie pomajowym wszakże decydującą przeszkodą na drodze do osiągnięcia politycznej koordynacji stronnictw żydowskich w ramach utworzonej w tym celu organizacji narodowej (Rada Narodowa, blok stronnictw, komisja porozumiewawcza lub t. p.) była okoliczność, że *część ugrupowań żydowskich zrezygnowała z swej politycznej niezależności w imię współpracy z B. B.*

Dla żydowskiego obozu narodowego, stojącego na gruncie zasady *niezależności polityki żydowskiej*, była to okoliczność decydująca. Albowiem polityka *żydowska* i jej organizacyjne, ideowe, czy jakiekolwiek inne uzależnienie się od *nie żydowskich* czynników — to „contradictio in adiecto". Polityka zależna — nie jest nasza, nie jest żydowska. Wszystko to są elementarne prawdy, odstąpienie od których w imię tych czy innych koncepcji taktycznych, nie mogło i nie może być nawet brane pod uwagę przez żydowski obóz narodowy.

Toteż w okresie koniunktury na swoiście realizowaną współpracę pewnych ugrupowań żydowskich z B. B., gdy posłowie — Żydzi, wybrani z „jedynki" podlegali we wszystkich sprawach, zatem także w żydowskich, dyscyplinie B.B.W.R, musieli więc występować i głosować nie tak, jak **im dyktowały** interesy społeczeństwa żydowskiego, lecz dyrektywy kierownictwa Klubu — zasiadanie z nimi we wspólnej reprezentacji politycznej było dla żydowskiego obozu narodowego niemożliwością. Wyrażenie zgody na podobne koncepcje oznaczałoby bowiem utorowanie drogi od małego do wielkiego zła: rozciągnięcie zależności od czynników zewnętrznych *części* społeczeństwa żydowskiego na jego *całość*. Tego należało uniknąć za wszelką cenę— nawet kosztem odroczenia momentu realizacji koncepcji politycznego zorganizowania społeczeństwa żydowskiego w ramach reprezentacji narodowej. Dlatego w odpowiedzi na szczere i mniej szczere wołania o konsolidację które tak często i tak gromko rozlegały się u nas co pewien okres, żydowski obóz narodowy odpowiadał wysunięciem krótkiego, ale podstawowego warunku politycznego: „konsolidacja? zgoda! — ale przedtem zerwanie wszelkich politycznych i organizacyjnych więzów zależności od BBWR". Jak wiadomo, jeszcze przed trzema i przed dwoma laty warunku tego *nie chciano wypełnić z własnej woli*...

Dziś warunek ten wypełniono na całej linii — nie z własnej, niestety, woli i nie pod wpływem argumentacji niezależnych stronnictw i publicystyki żydowskiej. B. B.W.R. przestał istnieć — a *do O.Z.N. Żydów się nie przyjmuje*. Organizacyjno-polityczne uzależnianie się jednostek i grup żydowskich od rządzącego obozu zostało skończone — na długo, bardzo długo, jeśli nie na zawsze. To jest treścią *drugiego* momentu, który skłania nas obecnie do wysunięcia sprawy reprezentacji.

Zachwaszczone przez lata pole żydowskiej polityki i życia społecznego zostało więc przez czynniki obce oczyszczone *prawie* zupełnie. Podkreślamy: *prawie*, albowiem jeden chwast dotąd pozostał. Jest to chwast niepozorny, rosnący w ciemnym kącie pola naszego życia, dzisiaj już prawie jedyny. Właśnie dlatego, że jest ostatni, że jest jedyny, że tak łatwo go z korzeniami wyrwać — winien być usunięty czemprędzej!

Czytelnicy wiedzą, że mowa o kilku Żydach, którzy nie wiedzieć poco, w imię jakich nadziei czy możliwości, wciąż zasiadają w sanacyjnym gronie na ul. Wiejskiej...

*

Nasze zjednoczenie żydowskie, jeśli uda się je nam przeprowadzić, będzie przede wszystkim *żydowskie: niezależne* od nieżydowskich czynników i niewzorujące się na nieżydowskich przykładach. Zrodzi się ono nie na wezwanie z góry, ale z własnej woli. Urzeczywistni się ono nie przez sztuczny melanż ale w drodze kooperacji poszczególnych odłamów politycznych naszego społeczeństwa. Organizacyjnie będzie międzypartyjną organizacją, opartą na zasadach parlamentarnych i demokratycznych. Słowem: chodzi nam o wybór naszej *narodowej reprezentacji, obejmującej wszystkie te niezależne odłamy społeczeństwa żydowskiego, które w obliczu niebezpieczeństw politycznych, zagrażających ogółowi żydowskiemu, pragną i mogą zjednoczyć się wokół wspólnej akcji w obronie naszych zagrożonych praw i stanowiska.*

Krajowy Komitet Żydowskiego Kongresu Światowego ujął inicjatywę zwołania Kongresu Żydowskiego w Polsce, wybranego przez ogół żydowski w demokratycznych wyborach. Jest to obiektywnie najlepsza droga wyłonienia naszej *reprezentacji narodowej*. Na drogę tę należy wkroczyć.

*

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Lwów — syjonistyczny!

Odbyte ubiegłej niedzieli wybory do Gminy Żydowskiej we Lwowie — przyniosły decydujące zwycięstwo obozowi syjonistycznemu. Na ogólną liczbę 30 mandatów radzieckich syjoniści ogólni uzyskali 16, lewica syjonistyczna 1, a więc **absolutną większość.** Doszczętnie zdruzgotani zostali dotychczasowi włodarze lwowskiej gminy z pod znaku gospodarczo-asymilatorsko-sanacyjnego, otrzymawszy ledwo 3 mandaty. Nie lepiej też wyszli ideowi przeciwnicy syjonizmu z lewa i z prawa: „Bund" (5 mandatów), „Aguda" (2 mandaty) i inni ortodoksi (2 mandaty).

Lwów zademonstrował znowu, że jest **twierdzą syjonizmu** — nad lwowską gminą żydowską znowu powieje sztandar niebiesko-biały. Odniesione zwycięstwo nakłada na syjonistów lwowskich wielki ciężar społeczny i poważne obowiązki w stosunku do ludności żydowskiej Lwowa. Po latach rządów „gospodarczych" i komisarskich, nowa większość będzie musiała poczynić wiele wysiłków w kierunku stworzenia warunków dla rozpoczęcia działalności w myśl zasad **polityki narodowej,** tak jak ją na odcinku gmin żydowskich pojmuje syjonizm.

W pracy tej syjonistom lwowskim będą towarzyszyć życzenia pomyślności ze strony syjonistów w całym kraju.

Urlop Macieja Rataja

Dzisiejsze święto ludowe poprzedzone zostało ważnym wydarzeniem wewnętrznym o charakterze personalnym, które miało miejsce w Stronnictwie Ludowym: **Maciej Rataj,** pełniący obowiązki przebywającego na emigracji prezesa, rozpoczął dłuższy urlop, a funkcje jego przejął **Mikołajczyk,** jeden z wice-prezesów stronnictwa.

Stronnictwo Ludowe, reprezentujące dążenia i interesy najliczniejszej w kraju warstwy ludności, zawsze stanowiło obiekt politycznych apetytów najrozmaitszych czynników i obozów. Dlatego każda zmiana wewnętrzna w łonie stronnictwa, każda dyskusja czy różnica zdań w jego szeregach, była rozdmuchiwana na zewnątrz do rzędu sensacji, mających zapoczątkować jakiś nowy kurs polityczny. Jak dotąd jednak, podobne przepowiednie rozmaitych „przyjaciół" i kawiarnianych proroków — z reguły się nie sprawdzały: Stronnictwo Ludowe kroczyło i kroczy nadal swoją drogą, która jest zarazem **drogą demokracji, negującej dyktatury zarówno lewe, jak i prawe.**

Także obecnie urlop Macieja Rataja dał ujście powodzi plotek. Mówi się więc z jednej strony, że spowodowało go niezadowolenie **Wincentego Witosa** z lewicowej orientacji stronnictwa na współpracę z P.P.S., że prezes zaangażował się w emigracyjnym „froncie Morges", mającym oprzeć się w kraju na koalicji elementów centrowych i umiarkowanie prawicowych Z drugiej strony „zapewnia" się z poważną miną, że urlop ma ułatwić zbliżenie się do... „Ozonu".

Na plotki te Maciej Rataj oraz naczelna instancja Stronnictwa odpowiedzieli oficjalnym komunikatem, że urlop nie ma charakteru politycznego. Zaprzeczenia oficjalne mają już jednak u nas takie szczęście, że w pewnych kołach, nie wierzy się im, albo zgoła widzi się w nich... potwierdzenie zaprzeczanej wiadomości.

Dalecy od podobnego wysnuwania wniosków „na opak", wolimy poczekać na dalsze kroki Stronnictwa Ludowego.

Kryzys kombatantów żydowskich

Kombatanci żydowscy, zrzeszeni w **„Związku Żydów - Uczestników Walk o Niepodległość"** przeżywają ciężki kryzys ideowy i organizacyjny. Organizacja ta, powstała w okresie, gdy w pewnych kołach żydowskich pokutowała jeszcze koncepcja tworzenia odpowiednika ówczesnego B. B. na ulicy żydowskiej — od pierwszych chwil swego istnienia cierpiała na pewien błąd organiczny, który później dotkliwie się na niej zemścił.

Za błąd ten uważamy nieprzeprowadzenie wyraźnego rozgraniczenia pomiędzy sferą wspólnych zainteresowań b. wojskowych a — polityką. Organizacje kombatanckie poświęcone są kultywowaniu wspomnień wspólnych przeżyć wojennych, podtrzymywaniu koleżeńskich stosunków oraz także obronie wspólnych interesów gospodarczych. Tak rozumiane, organizacje te mogą zrzeszać ludzi o najrozmaitszych przekonaniach politycznych, ponieważ polityka nie należy do zakresu ich działalności.

Kombatanci żydowscy naruszyli tę podstawową zasadę, występując w pierwszym okresie działalności, jako grupa, krytykująca politykę istniejących żydowskich stronnictw politycznych i uzurpująca sobie prawo politycznego pouczania społeczeństwa, a nawet występowania w jego imieniu. To wywołało ostrą reakcję naszego społeczeństwa i prasy wszystkich prawie kierunków. Reakcja ta została spotęgowaną jawnymi niesympatycznymi przejawami praktycznej działalności (n. p. uczestniczenie w wewnętrzno - politycznych obchodach pewnego obozu z okazji wydarzeń dla nas wcale nie radosnych, przyjmowanie nominacji do rozmaitych „beiratów" obejmowania posad komisarzy w „Linasach").

Toteż gdy w czasie wyborów 1935 r. kombatanci żydowscy posunęli do krańcowych granic przekreślanie apolityczności swej organizacji, wystarawszy się o własnych kandydatów na posłów w Warszawie i Krakowie — społeczeństwo żydowskie odpowiedziało nie tylko utrąceniem tych kandydatur (Kraków), ale także oddaniem na nie rekordowo minimalnej liczby głosów (Warszawa) Bardzo szybko więc koncepcje polityczne kombatantów doczekały się bankructwa **wewnątrz** społeczeństwa żydowskiego.

Ostatnie wydarzenia polityczne w kraju (kurs nacjonalistyczny sanacji, założenie O. Z. N. i jego narodowy ekskluzywizm, głośne oświadczenia płk. Kowalewskiego) doprowadziły do kryzysu tychże koncepcji także na odcinku wzajemnych stosunków z obozem rządowym. Jeśli bowiem nie wszyscy kombatanci wierzyli w możliwość poprawy sytuacji żydostwa polskiego w drodze swoiście pojętej współpracy z obozem rządowym, to wśród wielu z nich pokutowała nadzieja, że jakie ograniczenia i upośledzenia faktyczne nie miałyby być wobec Żydów stosowane, kombatanci zostaną uznani za uprzywilejowany wyjątek. Teraz niedwuznaczne oświadczenia płk. Kowalewskiego rozwiały i tę złudną nadzieję: przy całym szacunku dla kombatantów żydowskich nie uznaje się ich tytułu nawet do wstępowania w szeregi nowej organizacji obozu rządzącego.

Dla nas — nie nowe; dla kombatantów żydowskich — bardzo smutne; dla społeczeństwa żydowskiego na przyszłość —pouczające.

Taktyka K.P.P.

Komuniści zawsze uchodzili za mistrzów w sztuce naginania swej elastycznej do ostatecznych granic taktyki do aktualnych, a zatem zmiennych interesów partii, Kominternu, i państwa, w którym sprawują rządy. Ze sztuki tej nie zapomnieli — świadczą głośne ostatnio uchwały **V plenarnego posiedzenia Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Polski.**

Na marginesie tych uchwał pisze p. **K. Czapiński w „Robotniku":**

„Z ciekawością czytamy obszerne uchwały. Jest to bowiem nowy etap w pstrej, zmiennej, kameleonowatej ewolucji polskiego komunizmu. Wraz z całym Kominternem wciąż szuka on, nerwowo **szuka** „filozoficznego kamienia" drogi do mas, zaufania wśród mas; ciska się we wszystkie strony, wciąż zmienia swe hasła. Ale nie (lub bardzo mało) z tego nie wychodzi, gdyż — mimo całą pstrokaciznę wciąż zmieniających się haseł—zasadniczy błąd trwa. A jest nim zależność od Moskwy, niewolnicza zależność od państwowego interesu i rozkazów ZSSR".

Uchwały te na plan pierwszy wysuwają **demokrację;** a więc zalecają domagać się „wolnych i powszechnych wyborów", łączyć się we wspólnej walce o demokrację nie tylko z socjalistami i ludowcami, ale nawet z „dotychczasowymi zwolennikami sanacji i endecji, których zawiodły rządy faszystowskie i kramarska demagogia", popierać „każdy rząd demokratyczny", który będzie prowadził politykę pokoju i reform socjalnych.

Na pierwszy rzut oka, zdawałoby się,— same piękne rzeczy. Inaczej jednak wypadnie ocenić te nagłe wybuchy miłości do demokracji, jeśli skonfrontujemy je z dotychczasowymi tradycjami Kominternu:

„Ze zdumieniem czytamy tę apologię demokracji. Gdyby przed 2-ma lu 3-ma laty jakiś komunista ośmielił się rzucić te demokratvczne hasła, został by chyba ukamieniowany, jako ostatni „zdrajca proletarjatu", jako ten „lokaj rekinów kapitału"! Wszak czytamy wyraźnie w programie Kominternu (jeszcze chyba obowiązującym!), że demokracja — to najpaskudniejsze burżuazyjne „oszustwo", i że tylko nędzni socjal-faszyści (socjaliści) mogą stać na gruncie demokracji"!

Nie nagle obudzona miłość do demokracji jest zatem przyczyną zmiany taktyki komunistów, lecz względy zewnętrznej polityki Z.S.S.R. Zresztą — dowodem o szczerości przywiązania do demokarcji są jej losy właśnie w Rosji Sowieckiej:

„Czy można, bodaj na chwilę, wierzyć w szczerość takiej taktyki? Wszystko to są **manewry** — dziś takie, jutro inne. Dlaczego np. w Rosji Sowieckiej nie zastosowano tej demokracji, którą tak obecnie wychwalają cytowane uchwały?

Żeby przekonać się, jak pokornie KPP powtarza dyrektywy Stalina, wystarczy przeczytać uchwały w sprawie nowej sowieckiej konstytucji i trockistów. Znana, dobrze znana — z „Prawdy" i „Izwestij" — frazelogia! Uchwała (w sprawie konstytucji) poręcza, że nowa sowiecka konstytucja — to **„najdemokratyczniejszy na świecie ustrój".** Są to chyba kpiny z czytelnika! Nigdy nie było takiego masowego wykrywania herezyj i „odchyleń" w ZSRR, jak właśnie obecnie, po wprowadzeniu „najdemokratyczniejszej" konstytucji — i to we filozofii, prawie, naukach, literaturze!

A socjaliści wciąż siedzą w kryminałach i na zesłaniach! Zresztą wiadomo, że art. 141 konstytucji zezwala tylko komunistycznym organizacjom na stawianie kandydatur, a art. 126 owszem, uznaje „wolność" stowarzyszeń, ale tylko dla prawowiernych komunistów. A obszerna rezolucja KPP o procesach trockistowskich **„wita z uznaniem słuszny wyrok na zdrajców** sprawy robotniczej, renegatów socjalizmu i **dywersantów faszystowskich".** Dalej uchwała powiada, że programem trockistów jest **„wydanie Ukrainy na łup Niemiec, a** prowincji Nadmorskiej i Nadamurskiej **na łup Japonii".** Wszystko to, jak Stalin i prokurator Wyszyński każą..."

O tym zaś jak lojalnie K. P. P. wyobraża sobie współpracę z partiami demokratycznymi świadczą ataki V plenum na P. P. S. i Stronnictwo Ludowe. A więc prawi się wszędzie o „prawicowych przewódcach P.P.S.", zarzuca się Kongresowi radomskiemu, że „nie stanął na stanowisku konsekwentnej obrony pokoju", oskarża się, że „kierownicy P.P.S.. i Stronnictwa Ludowego podchwycili oszczerczą kampanię przeciw Z. S. R. R", że ich uchwały są „przepojone duchem jątrzenia" i t. d. Słowem: zachęcające zaproszenie do współpracy.

Taktyka taktyką — ale kierownicy K. P. P: **„niemnożko prichifrili".**

Cerkiew w Z.S.R.R.

Przemiany w Rosji Sowieckiej znajdują swój wyraz nie tylko w serii procesów, których **celem jest** usuwanie „starych bolszewików", ale także w innych zjawiskach. Tak np. powoli ale bardzo konsekwentnie zmienia się stosunek komunistycznego państwa do... prawosławnej cerkwi. Zazwyczaj dobrze poinformowana **„Baseler Nazionalzeitung"** pisze na ten temat:

„Dziś trudno znaleźć w Rosji „bezbożników", którzy jeszcze kilka lat temu prowadzili hałaśliwą propagandę pod kierownictwem Jarosławskiego i wdowy po Leninie, Krupskiej; o wiele trudniej jest ich znaleźć, niż w sąsiednich krajach Europy środkowej.

„Jeszcze w r. 1933 związek bezbożników liczył 5 milionów członków, co wcale nie jest straszne na tle ludności, liczącej 170 milionów. Obecnie donoszą oficjalnie, że liczba wolnomyślicieli spadła do 3 milionów. Do tego komisarz oświaty zarządził zamknięcie pięciu klubów anty-religijnych, w którym wychowywało się 5000 „studentów"! Jak wiadomo, nowa konstytucja przyznaje prawa wyborcze także duchowieństwu.

„Ciekawe, jakie to niezwykłe więzy łączą dziś sprawy polityczne i gospodarcze z sprawami religijnymi. Znowu odżyły rozmaite sekty ortodoksyjne. Minęły czasy, gdy władze usiłowały przeciwstawić cerkwi ortodoksyjnej cerkiew „żywą". Wierny swoim zasadom. bolszewizm, zgadza się, by posłuszne regime'owi duchowieństwo odprawiało religijne praktyki, wyświadczając dobrodziejstwa popom, występującym przeciw „trockizmowi" oraz za Stalinem w tej wewnętrznej walce rosyjskiej, której istoty jeszcze nie pojmujemy".

A zatem — inna odmiana tej samej „taktyki".

Anglia „rusza się"

Ruch robotniczy rozwija się w Anglii w ciągu ostatnich tygodni z zadziwiającą szybkością.

Strajk czeladników murarskich w Clyde, strajk górników w Nottinghamshire i groźby strajku generalnego w Zagłębiu węglowym, aby przeszkodzić właścicielom w faworyzowaniu „żółtych" syndykatów, strajk personelu autobusów i autocarów, groźba strajku w czasie koronacji, żądania listonoszów, żądania dróżników, te wszystkie wydarzenia wskazują na nowy interesujący okres w ewolucji społecznej Anglii.

Byłoby absurdem przypuszczać, że to wznowienie aktywności syndykalnej w Anglii stoi w związku z wydarzeniami francuskimi z ubiegłego roku.

Prawdą jest, że te same przyczyny wywołały te same fakty tu i tam. Po okresie kryzysu, powrót do życia i do pracy, dodał otuchy masom.

Wzmocnienie się partii robotniczej idzie w Anglii w parze z rozwojem ruchu robotniczego. Robotnik angielski zwraca się obecnie chętniej, niż kiedykolwiek, w kierunku Labour-Party. Naprzykład w kwestii blokady Bilbao, zarówno jak i w sprawie dzikiego bombardowania Guerniki, właśnie partia robotnicza wypowiedziała to, co odczuwały masy ludności brytyjskiej. Nie zdziwi się więc nikt, że w ostatnich wyborach okręgowych w Stalybridge, kandydat konserwatystów przeszedł większością zaledwie 334 głosów, podczas gdy jego poprzednik z 1931. przewyższył kandydata laborzystów liczbą 5073 głosów.

Signum temporis!

A. G. ARCI

SĄSIEDZI

Rozważając stosunek sąsiadów Palestyny do dzieła syjonistycznego, zwykliśmy oscylować między supozycją wrogości a obojętnością. Oczekujemy w gorszym razie przeciwdziałania, w lepszym — neutralności. Sugestia panarabska jest tak silna, że nawet nam, którzy z natury rzeczy najsceptyczniej się do niej odnosimy, trudno wyobrazić sobie coś więcej, niz brak aktywnej wrogości ze strony państw ościennych. Wierzyliśmy i wierzymy nadal, że budowa Żydowskiej Siedziby Narodowej przynosi pierwszorzędnej doniosłości korzyści nie tylko Palestynie i jej ludności arabskiej, ale i całemu Bliskiemu i Środkowemu Wschodowi. Jesteśmy skłonni uwierzyć, że okoliczność ta doprowadzi z czasem do ustalenia dobrych stosunków sąsiedzkich między żydowską Palestyną a otaczającymi ją krajami. Ale trudno nam uwierzyć, żeby świadomość pożytku, jaki można osiągnąć z kolonizacji żydowskiej, już teraz, zanim Żydzi stali się siłą decydującą w Palestynie, mogła wpłynąć na kształtowanie się linii politycznej państw sąsiednich. Skoro Arab palestyński, najbardziej bezpośrednio i najwydatniej korzystający z dobrodziejstwa obecności Żydów, dotąd jeszcze daje się pociągnąć do takiej walki z Żydami, jaką nam zademonstrował w ostatnim roku, to czemużby się dalszy sąsiad nie miał względnie łatwo dać namówić do słownej przynajmniej demonstracji antysyjonistycznej?

Okazuje się jednak, że sami widocznie nie umiemy docenić dostatecznie rezultatów naszej pracy. Ze szpalt prasy arabskiej nie schodzi sprawa ostatniego oświadczenia patriarchy maronickiego w synagodze beiruckiej. Patriarcha Arida uznał mianowicie za stosowne przed wyjazdem do Europy, do Rzymu i Paryża, przybyć w otoczeniu 15 księży do synagogi w Beirucie, aby pożegnać się z przedstawicielami miejscowej ludności żydowskiej i złożyć przy okazji oświadczenie o gotowości poparcia Żydów w każdej potrzebie. Uzupełnił natychmiast to oświadczenie biskup Beirutu, który wręcz oświadczył;„Przybyliście do Palestyny i dokazaliście cudu bajecznego rozkwitu gospodarczego w pośród wijącego się w kryzysie świata. Mieszkańcy odpowiedzieli. Wam niewdzięcznością i ślepą zawiścią". Po czym opowiedział po prostu, że patriarcha stara się od dłuższego czasu o otwarcie Libanu dla imigracji żydowskiej.

Trzeba sobie uświadomić, kim są maronici i kim jest na Libanie ich patriarcha, aby zrozumieć wysiłki prasy arabskiej ku zatarciu wrażenia powyższych oświadczeń. Patriarcha maronitów to niekoronowany król Libanu, głowa starodawnego wyznania chrześcijańskiego, do którego należy większość mieszkańców tego kraju. Masowa rzeź chrześcijan, którą zorganizowali na Libanie przed laty blisko siedemdziesięciu Turcy przy pomocy Druzów i miejscowych muzułman., nie zdołała zniszczyć maronitów. Znaleźli oni opiekę pod skrzydłami Francji, która w końcu objęła władzę w tym kraju w charakterze mandatariuszki i wnet wydzieliła Liban z ogólnego terenu mandatu syryjskiego i utworzyła zeń osobne państwo, które ma się teraz równocześnie z Syrią usamodzielnić.

Znaczenie patriarchy Aridy nie ogranicza się jednak do tego, że jest on wodzem chrześcijan Libanu, a przez to najbardziej wpływową osobą w tym pięknym górskim i nadmorskim kraju. Pomimo długoletnich związków maronitów z Francją nie zawahał się on ostro wystąpić przeciw francuskiej władzy mandat. w chwili, gdy zarządzenia jej wydały mu się niesłuszne. W okresie walki syryjskiego „bloku narodowego" z Francuzami o usamodzielnienie Syrii nie zawahał się on udzielić pełnego poparcia sprawie syryjskiej. Patriarcha stał się najsilniejszą ostoją moralną, symbolem niejako walki narodowej całej Syrii i na swój sposób jednym z największych autorytetów w świecie arabskim. Tym dotkliwsze było ostatnie jego oświadczenie dla arabskich przywódców antysyjonistycznych w Palestynie i dla ich organów prasowych.

Niewątpliwie mają maronici specjalne **powody do sympatyzowania z dziełem żydowskim w Palestynie. Jako chrześcijańska** ludność kraju nadmorskiego, wystawionego na ciągły nacisk muzułmańskiego zaplecza, są oni zainteresowani w powstaniu i wzmożeniu się podobnego im niemuzułmańskiego czynnika w sąsiedztwie. Ale słowa maronickiego biskupa są zarazem szczerym wyrazem zrozumienia korzyści, jakie każdy z krajów Bliskiego Wschodu może wyciągnąć z działalności Żydów. W tym zaś względzie nie są maronici bynajmniej odosobnieni. Okoliczności dodatkowe czynią ich tylko może bardziej zaawansowanymi i śmiałymi w wypowiadaniu swych sądów i poglądów, ale w gruncie rzeczy nie ma różnicy między nimi a Arabami lub muzułmanami innych krajów ościennych.

Zacznijmy od najbliższego naszego sąsiada, od kraju, który na dobrą sprawę nie jest w ogóle sąsiadem. lecz częścią Palestyny, od Transjordanii. Wiadomo, jak bardzo czeka — mimo pozorów przeciwnych — wynędzniała ludność tego niegdyś żyznego i bogatego kraju i jego władca na chwilę, gdy ustanie sprzeciw Anglików i Transjordania zostanie otwarta dla kolonizacji żydowskiej, która tak gruntownie zmieniła oblicze Cisjordanii.

Nasz południowy sąsiad, Egipt, dosyć chętnie dosiadał za dawnych czasów konika antysyjonistycznego dla dokuczenia Anglii. Od czasu pogodzenia się „Wafdu", (egipskie stronnictwo niepodległościowe, stanowiące większość w kraju i w parlamencie) z Anglią nie pozostało jednak z tego kursu nic. Podczas zeszłorocznych rozruchów rząd egipski po prostu zakazał zbiórek na rzecz Arabów palestyńskich i wpłynął na prasę w kierunku niepoświęcania sprawom palestyńskim zbytniej uwagi. Egipt jest bez porównania bardziej rozwinięty od krajów arabskich, nie poczuwa się do arabizmu (poza językiem), stosunek do miejscowej ludności żydowskiej jest znakomity, od żydowskiej Palestyny może oczekiwać tylko rozwoju sąsiedzkich stosunków handlowych i kulturalnych (exemplum: niezwykłe powodzenie wizyty „Habimy" i palestyńskiej orkiestry symfonicznej w Egipcie).

O jednym sąsiedzie północnym, o Libanie, jużeśmy mówili. Ale i drugi, Syria, zaczyna objawiać wyraźne oznaki zrozumienia szans, jakie mu daje żydowskie sąsiedztwo. Latem ubiegłego roku arabscy przywódcy syryjscy starali się wielokrotnie pośredniczyć między Arabami palestyńskim i Żydami. Starali się oni — bezskutecznie — znaleźć kompromis i doprowadzić do likwidacji zatargu palestyńskiego, który jest ich zdaniem szkodliwy i niepożądany dla obu stron w Palestynie, a zarazem także i dla Syrii. Kontakt nasz z nimi nie ustał dotąd i wiadomo, że dali oni do zrozumienia przedstawicielom jerozolimskiego Naczelnego Komitetu Arabskiego, że wojna jego z Żydami nie budzi w nich entuzjazmu, bo obecność i działalność Żydów w Palestynie przynosi już teraz Syrii dużo korzyści gospodarczych, a może przynieść jeszcze więcej. Rozruchy palestyńskie odbiły się w przykry sposób na ekonomice syryjskiej. Syria wolałaby zaś raczej powiększyć gospodarcze, kulturalne i techniczne korzyści, które może wyciągnąć ze swego syjonistycznego sąsiada.

Bardzo podobną odpowiedź usłyszeli swego czasu delegaci Komitetu Arabskiego od obecnego rządu Iraku, który oświadczył, że nie chce kontynuować panarabskiej polityki swego poprzednika i wtrącania się w sprawy Palestyny. Wydaje mu się, że ze syjonizmu może Irak raczej wyciągnać korzyści. Już je zresztą wyciąga dzięki niezwykle dla siebie korzystnemu bilansowi handlowemu, dzięki strefie wolnocłowej w porcie w Hajfie (za czyje pieniądze port ten wybudowano?) itd.

Chetnie się nie raz mówi obrazowo o morzu arabskim, które nas otacza. Zapewne, mamy sąsiadów, ale jeśli ich już porównywać do morza, to w każdym razie nie do takiego, którego fale pragnęłyby koniecznie zatopić nasz okręt.

Tel-Aviv, 8. 5. 37.

REDAKTOR „STERU" DR. M. KLEINBAUM POWRÓCIŁ Z PALESTYNY.

JUŻ W NASTĘPNYM NUMERZE „STERU" UKAŻE SIĘ ARTYKUŁ DR. KLEINBAUMA.

Legens

CHŁOPI

Dziś, w pierwszy dzień Zielonych Świątek, wieś polska umajona jest zielenią ludowych sztandarów — to miliony chłopów obchodzą swe doroczne *święto ludowe*.

Polska była i jest krajem rolniczym, a chłop polski stanowił zawsze i po dzień dzisiejszy nadal stanowi — trzon jej ludności. Tak było od legendarnego Piasta z Kruszwicy, który miał zapoczątkować w Polsce pierwszą historyczną dynastię królewską, aż do współczesnego przywódcy „Piasta" z Wierzchosławic, który był premierem Polski w przełomowej chwili rozstrzygania się jej dziejowych losów...

„Chłop potęga jest i basta!" Tak, pewnie, że potęga, ale dodajmy od siebie maleńkie zastrzeżenie: potęga w znaczeniu... statystycznym. 75% ludności Polski to chłopi, więc pod względem liczebnym niewątpliwie stanowią oni trzon polskiej ludności — ale czy ten trzon *ludności* jest także trzonem *narodu*, trzonem *polityki*, trzonem *państwa?*

Historia Polski, a także jej współczesność na pytania te odpowiadają zaprzeczeniem. Tak się bowiem w Polsce i poza Polską paradoksalnie działo, że trzon ludności nie tylko nie miał wpływu na państwo i na jego politykę, ale przez długie wieki pod względem kulturalnym i uczuciowym nie był uznawany za równouprawnioną część polskiego narodu. Bo każdy naród jest królestwem, w którym rządzą *kultura* narodowa, i narodowa *świadomość* o uczuciowym podkładzie. Jakżeż więc chłop polski mógł w dawnych wiekach należeć do polskiego narodu, jeśli polska kultura była przed nim zamykana na siedem spustów, a uczucie świadomości narodowej — dalekie ?

Przez długie wieki polski naród, to była polska szlachta; polska demokracja — była demokracją szlachecką; polskie państwo — szlachecką rzecząpospolitą. Tak zresztą było na całym prawie świecie przed nastaniem ery powszechnej demokratyzacji społeczno - kulturalnej. Dla tego w okresie walk o niepodległość narodu polskiego w ubiegłym stuleciu chłop polski zachowywał się na ogół biernie. Wprawdzie natychmiastową odpowiedzią na kościuszkowskie uniwersały, mające już po utraceniu niezawisłości przekreślić wiekową krzywdę chłopa, był wielki zbrojny czyn chłopski, były Racławice, ale w dziejach walk o utraconą niepodległość pozostały one tylko płomieniem, który rozpalił się nagle, aby zgasnąć po krótkiej chwili. Kiedy bowiem pewnej nocy listopadowej 1830 roku szlachcic Kordian szedł na Belweder, „Cham" pozostał w stosunku do powstania nie tylko obojętny, ale nawet wręcz wrogi. A w 1863 roku zdarzały się także wypadki, gdy nieuświadomiony chłop pomagał Moskalom tropić powstańców...

*

Dopiero pierwsze powiewy *demokracji* otworzyły przed chłopem zaryglowane dotąd wrota do polskiej kultury, ducha i świadomości narodowej. Mickiewiczowskie tomy poczęły mimo wszystko docierać pod niejedną strzechę, chłop uświadamiał się kulturalnie, narodowo, a nawet politycznie. Tragika ery porozbiorowej chciała, by polityczna emancypacja chłopa zapoczątkowana została w obcych ramach państwa zaborczego, ale już pierwsze kroki politycznego ruchu ludowego przepojone były duchem polskim, duchem niepodległościowym. Wielkopolscy Drzymałowie i galicyjski „Piast" — działali zgodnie z duchem polskiej polityki narodowej. A gdy w pewien sierpniowy poranek z Oleandrów krakowskich wyruszył na pole walki pierwszy oddziałek strzelecki, mający się stać zalążkiem armii polskiej, w szeregach jego nie zabrakło synów chłopskich.

Zmartwychwstanie Państwa Polskiego, a zwłaszcza pierwsze lata jego istnienia, zdawały się potwierdzać powiedzenie Wyspiańskiego. Chłop stawał się *potęgą* już nie tylko w znaczeniu swej statystycznej liczebności, ale także w narodowym i politycznym sensie. Chłop stał się trzonem państwa, kiedy w chwili zagrożenia bytu jego chłopski przywódca stanął na czele Rządu Oborny Narodowej, a chłopscy synowie przelewali krew w obronie istnienia Polski.

Kiedy zaś wójt z Wierzchosławic został wójtem całej Polski — to istotny sens tego faktu nie spoczywał bynajmniej w płaszczyźnie niebywałej kariery politycznej. Wincentego Witosa. Witos był tu raczej symbolem zdobycia przez chłopów wpływu na politykę państwa, w którym stanowią trzon ludności.

I takim już symbolem chłopskiego aktywizmu politycznego pozostał wójt z Wierzchosławic. Był on do tego wiernym symbolem chłopa z jego zaletami i wadami. Nie brakło mu chłopskiej mądrości, która często i niepostrzeżenie przechodzi w chłopską chytrość, przebiegłość, czy nawet wyrachowanie. — Kaden-Bandrowski napisał powieść — paszkwil na chłopskiego przywódcę, ale poniesiony subiektywizmem politycznym, dał obraz z gruntu fałszywy: Mateusz Bigda, to nie Wincenty Witos... Prawdziwie literackiego portretu ciekawa postać Witosa dotąd się nie doczekała.

Miano kiedyś Witosowi ogromnie za złe jego słynną przed laty odpowiedź na skargi, że jest źle: *„Jest źle — ale będzie gorzej"*.. Mądrość często graniczy z cynizmem, a odpowiedź Witosa była właśnie mądra a zarazem cyniczna. Przed laty jednak odczuwano tylko jej cynizm. Za to dziś, w jedenaście lat po ustąpieniu ostatniego rządu parlamentarnego, którym był gabinet wójta z Wierzchosławic, okazuje się, że powiedzenie jego było i mądre i przewidujące...

*

Od Reymonta do Kurka tyle i w tak różny sposób pisano już w literaturze polskiej *o chłopach* — ale prawdziwego chłopa, jego rzeczywistego oblicza duchowego, jego codziennych trosk i zainteresowań nie mogliśmy dotąd w literaurze znaleźć, począwszy od Reymontowych „Chłopów" a skończywszy na Kurkowej „Grypa szaleje w Naprawie". Albowiem chłop, ten od roli, ten z krwi i kości, nie przemówił we własnym imieniu.

Luka ta została ostatnio wypełniona. Oto leży przed nami tom ogromnych rozmiarów: jest to druga seria *„Pamiętników chłopów"*, wydana w 1936 r. przez *Instytut Gospodarstwa Społecznego*. Cóż kierowało Instytutem przy wydaniu tych dwakroć dziewięciuset stron druku wielkiego formatu? „Chłopomania", lubowanie się w folklorze, tania czułostkowość na widok chłopskiej siermięgi? O nie! Prof. *Ludwik Krzywicki* w przedmowie mówi w słowach prostych i skromnych ale przez treść swoją jakże patetycznych, o zadaniach tej placówki społecznej. W Polsce żyją w skrajnej nędzy setki tysięcy robotników, chałupników, małorolnych bezrolnych, a Instytut Gospodarstwa Społecznego oddał się całkowicie dochodzeniom właśnie w zakresie tych tłumów, „stanowiących pod względem ilościowym bądź co bądź rdzeń narodu polskiego". Chłopi stanowią najliczniejszy odłam tej wielkiej armii nędzarzy, ale nie wszyscy jeszcze u nas zdają sobie z tego sprawę w sposób dostateczny. „Póki wieś polska jest zaciszna, póki spokojna, jej mieszkańcy mogą niedojadać, byleby tym swoim niedojadaniem nie targali innym wczasu i spokoju". Zadaniem pamiętników ma być właśnie wytrącenie społeczeństwa i czynników rządzących z tego błogiego spokoju, zmuszenie ich do szukania radykalnych środków walki z nędzą wsi.

Albowiem I. G. S. poświęca się całkowicie sprawie usunięcia z ziemi polskiej źródeł nędzy i krzywdy. Wydane przezeń parę lat temu *„Pamiętniki bezrobotnych"* w pewnej mierze już przysłużyły się temu celowi, wpływając na decyzję czynników rządowych w kierunku utworzenia Funduszu Bezrobocia. Teraz kolej na podobną służbę społeczną „Pamiętników chłopów"...

Maria Dąbrowska jeszcze szerzej ujmuje ich znaczenie, pisząc w przedmowie: „Dziś w *Pamiętnikach* przemówił do wszystkich, mających uszy ku słuchaniu, Wielki Nieznany — chłop, którego nazwać warstwą narodu — to właściwie za mało. Gdyż stanowi on tak olbrzymią większość narodu, że czytając jego rozpamiętywania naród siebie samego dopiero w pełni poznaje, ogląda i sądzi".

*

Ale oddajmy na chwilę głos samym autorom „Pamiętników" — chłopom. Posłuchajmy, *jak* mówią pół chłopskim pół inteligenckim językiem chłopi spośród tysięcy podobnych, posłuchajmy *co* mówią o Polsce i o swoich bolączkach. Czytajmy uważnie te swoistą ortografią pisane dzieła anonimowych laureatów tegorocznej nagrody literackiej „Wiadomości Literackich". Postarajmy się też odczuć bolesny kontrast pomiędzy radością z powodu odzyskania Niepodległości a przygnębieniem z powodu nędzy, która za jej czasów istnieje.

Bogaty, 55-morgowy gospodarz z powiatu poznańskiego opowiada o pierwszych chwilach wolności: „...przybywszy do Poznania widziałem koło Bazaru przy dzisiejszej Al. Marcinkowskiego, zgromadzoną publiczność polską, a u góry na werandzie wielkiego muzyka polskiego Ignacego Paderewskiego, który do Polaków przemówił i wznosił okrzyk: Niech żyje Polska!, co zebrani entuzjastycznie wznosili... Ach! co za radość zapanowała na polskiej ziemi, po wypędzeniu z niej Niemców, co za radość i zapał rozpierał serca polskie na widok wolnej ziemi polskiej."

A w wolnej Polsce: „Z początku było dobrze, później marka polska spadła, z tego powodu ludzie majątki potracili, a co gorsza ludzie stracili zaufanie do władz... Ach, co za krzywda dzieje się rolnikowi. Czemu dawniej równały się ceny przemysłowe z cenami płodów rolnych, a czemu dziś przemysł nie zastosuje tego. Opisałem pokrótce jaki dobrobyt był przed wojną światową na wsi polskiej. Teraz opiszę jaka niedola jest na wsi teraz i co wpłynęło, że teraz jest tak źle. Przedewszystkiem wpłynęło to, że dziś na wsi są pełne domy bezrobotnych. Nieraz czytać można w gazetach, że tylu jest bezrobotnych w Polsce, jednakże nikt nie liczy tych licznych członków rodziny, w małych gospodarstwach, którzy wyjadają i na **przyodziewek** wyciągają ostatek z gospodarstwa, chociaż wielu jest zbytnich i niepotrzebnych. Dawniej ci niepotrzebni wyjechali na robotę do Niemiec... Dalej jest źle, że dużo ludzi robotniczych a nawet rzemieślniczych nie mają pracy, głodują, nie mają pieniędzy i dlatego od rolnika nic, albo bardzo mało kupują..."

Jeszcze wymowniejsze, choć bardziej proste są wspomnienia i myśli młodego małorolnego chłopa z powiatu rzeszowskiego, żołnierza w okresie wojny bolszewickiej: „O przebiegu działań wojennych, które mie ominęły, o „Cudzie nad Wisłą" dowiadywałem się z gazet. Ale ten od Wisły inaczej sobie przedstawiali, którzy w nim uczestniczyli. Opowiadali mi to później koledzy. Gdy się cofnięto pod Warszawę, sypały się na żołnierzy z okien ciastka, cukierki, papierosy, to był cud: żołnierz, który stale był głodny został nagle obsypany i obdarzony podarunkami, więc nabrał ochoty do walki widząc, że społeczeństwo przyczynia się do ulżenia biedy żołnierzy. I stał się cud. Wroga odparto. Miał być jeszcze jeden cud, nagroda żołnierzy zasłużonych — obdarzenie ziemią, którą własnemi piersiami bronili. Dostało się to ale nie wszystkim. Teraz w Polsce ziemi brak. Wysunięto też w tym czasie na czoło rządu wodza ludu Witosa. I może właśnie to dodawało chęci i odwagi olbrzymim masom synów chłopskich do walki. Brońmy Polski do ostatniej kropli krwi, bo ona będzie naszą. Patrzcie, oto chłop stoi na czele rządu, będzie Polska ludowa. Jakeż się srodze zawiedli ci, którzy mieli nadzieje. Dziś inaczej oni już myślą".

Słowa wymowne. Słowa prawdziwe. Słowa, które zobowiązują.

*

Tegoroczne zielone święto ludowe przypadnie zatem w okresie ciężkiej niedoli gospodarczej wsi. Kryzysowi gospodarczemu polskiego chłopa towarzyszy jego kryzys polityczny. Od lat ruch ludowy i jego Stronnictwo odsunięte zostały od wywierania politycznego wpływu na losy państwa. Podobnie jak robotnik, tak też i chłop coraz lepiej rozumie, że warunkiem poprawy jego sytuacji gospodarczej i stanowiska socjalnego mogą być tylko pełne swobody obywatelskie.

Swą kulturalną i narodową emancypację, swój wpływ na politykę państwa w okresie gdy go posiadali — zawdzięczają chłopi jedynie i wyłącznie *demokracji*. Toteż, gdy ograniczono i zlikwidowano w Polsce system ludowładztwa parlamentarnego, zmniejszył się i znikł wpływ mas chłopskich na państwo. Dawna paradoksalna rozpiętość pomiędzy potęgą liczebną chłopa, a stopniem jego współudziału w gospodarowaniu państwem, znów zarysowała się w całej jaskrawości.

Tu źródło owej tęsknoty za demokracją, której tak silnie daje wyraz przy różnych okazjach Stronnictwo Ludowe. Bo demokracja, to rządy ludu dla ludu, wykonywane przez reprezentantów ludu; gdy wszelka dyktatura stanowi stanu tego zaprzeczenie.

Dlatego lud polski i jego Stronnictwo są tak zdecydowanie przeciwne dyktaturze faszystowskiej, czy komunistycznej, endeckiej czy jakiejkolwiek innej. Dlatego lud polski tęskni za demokracją.

Inż. A. GLIZER

NIBY BŁAHA HISTORIA...

(KORESPONDENCJA WŁASNA „STERU" Z PALESTYNY)

Palestyński port lotniczy w Lud stał się ostatnio bardzo popularny. Lądują w nim przecież samoloty „Lotu", które zniweczyły przestrzeń między Polską a Palestyną. Aerodrom ów, albo jak mówią w Palestynie „awirodrom", nie jest zwykłym lotniskiem. Jest on ogromny i zaopatrzony w najnowocześniejsze urządzenia techniczne, czyniące zeń prawdziwy port lotniczy, niewątpliwie zasługujący na wszelkie pochwały, jakimi go darzą.

Palestyński rząd wybudował tym razem rzecz piękną.

Obdarzmy go więc jeszcze jedną pochwałą i jeżeli nie wzbudzi ona zbyt wielkiego entuzjazmu czytelników — przepraszam zgóry. Tak jednak było i podziękowanie należy się inicjatorowi tej całej sprawy, rządowi palestyńskiemu we własnej osobie. Właściwie należy mu się przed tym jeszcze inne podziękowanie, za to, że port lotniczy znajduje się nie tam, gdzie uważano, że powinien być t. zn. w pobliżu Tel-Avivu, lecz niedaleko Lud. Buduje się właśnie teraz szosę, wiodącą w prostej linii z Tel-Avivu do portu lotniczego o długości szesnastu kilometrów. To nie jest wiele. Ale nie można powiedzieć, aby ta droga przez wsie arabskie prowadząca, była zbyt przyjemna, pociągająca i bezpieczna. Ale trudno. Czego nie robi rząd, aby uniknąć uroku i nie uczynić broń Boże rzeczy, któraby mogła pomóc rozwojowi żydowskiego miasta?

Port lotniczy znajduje się zatem w Lud i o tym nie ma już co mówić.

A więc do rzeczy: rząd miał oddać przedsiębiorcy budowę hotelu i innych budynków portu lotniczego, robotę za 50 tys. funtów szterlingów. Jak zwykle rozpisano konkurs. W warunkach konkursu ukazał się jednak punkt, o którym nie słyszano jeszcze dotąd w Palestynie. Mianowicie, rząd zobowiązał przedsiębiorcę do przeprowadzenia wszystkich robót jedynie przy pomocy robotników arabskich. Przy tym rząd zaznaczył, że zgóry zrzeka się wszelkich pretnsyj na wypadek, gdyby wykonanie roboty uległo opóźnieniu wskutek wymienionego warunku. Nawet pojedyńczy fachowcy nie arabscy nie mogą być zatrudnieni przy budowie bez wyraźnego zezwolenia rządu. Żydowskich przedsiębiorców oczywiście do konkursu nie zaproszono.

Jeśliby zapytać rząd palestyński „dlaczego?" — odpowie, że właściwie spełnił w tym wypadku stare życzenie żydowskie. Udział Żydów w państwowych robotach publicznych, był jak wiadomo, do czasu zeszłorocznych niepokojów minimalny.

Dopiero strajk arabski z jednej strony i decyzje rządu o budowie całego szeregu dróg strategicznych na obszarach żydowskich z drugiej, spowodowały zasadniczą zmianę pod tym względem.

Naogół jednak byli Żydzi zawsze pokrzywdzeni i żądali rozwiązania tego problemu na jednej z dwóch dróg: albo rząd będzie przestrzegał pewnego procentowego podziału swych robót pomiędzy obydwa narody, albo ustanowi podział terytorjalny, w ten sposób, że na obszarach żydowskich będą pracowali Żydzi, na arabskich Arabowie, a na mieszanych Żydzi i Arabowie w określonym stosunku. A ponieważ Lud jest miastem arabskim, praca należy się Arabom...

Powstaje przede wszystkim pytanie: dlaczego właśnie w tym wypadku uważał rząd za konieczne po raz pierwszy zastosować zasadę terytorialnego podziału pracy i to w tak rygorystycznej formie?

Nasuwa się drugie pytanie: dlaczego dla określenia narodowej przynależności obszaru, na którym znajduje się port lotniczy, miarodajne jest właśnie Lud, obecnie czysto arabskie miasteczko, a nie sąsiadujące z nim osiedla żydowskie, albo nawet leżący w pobliżu las Herzla?

Na koniec pytanie trzecie: jak można traktować centralny cywilny port lotniczy kraju, jako przedsięwzięcie lokalne i określać jego przynależność narodową na podstawie przypadkowego położenia?

Na wszystkie te pytania daje rząd właściwie jedną odpowiedź: położenie robotników arabskich jest katastrofalne. Strajk wstrząsnął całą gospodarką arabską i przede wszystkim ucierpiały wskutek niego naturalnie najsłabsze warstwy, w pierwszym rzędzie robotnicy. Panuje wśród nich bezrobocie, a tym, którzy pracują, obniżono ogromnie płace. Rząd jest zainteresowany w tym, żeby ulżyć nędzy i rozładować nagromadzoną gorycz, dając zatrudnienie robotnikom arabskim.

Odpowiedź ta pomija omawiane zagadnienie, które nie odnosi się do faktu zatrudnienia robotników arabskich, lecz do sposobu w jaki się to czyni. Ale mimo to argumentacja rządu wywarła wrażenie i dlatego Żydzi nie zrobili z tej sprawy wielkiej kwestii.

Związek robotników arabskich w Jaffie wziął widocznie na serio dobre zamiary rządu i stworzył rodzaj „Zrzeszenia przedsiębiorców" na wzór „Histadruthu", które starało się otrzymać omawianą budowę. Budowę otrzymał jednak angielski przedsiębiorca, który złożył ofertę o 5 tys. funtów niższą od pozostałych konkurentów. Tych pieniędzy nie dołoży on z własnej kieszeni i taniość owego przedsiębiorcy angielskiego, oznacza poprostu, że ma on zamiar wykorzystać ciężką sytuację na arabskim rynku pracy i obniżyć i tak już niskie płace. Rząd domagał się zatrudnienia Arabów, ale w kontrakcie nie umieścił oczywiście punktu o przestrzeganiu minimalnej płacy roboczej i tego, co Anglicy nazywają (u siebie, w Anglii) „przyzwoitymi warunkami pracy" (określona ilość godzin pracy dziennie itd.). Dlaczegóżby więc miał przedsiębiorca nie wykorzystać konjunktury?

Oto jest polityka rządu palestyńskiego: Żydom wyrządza się krzywdę, motywując ją tym, że jest to konieczne dla dobra ludności arabskiej, gdy jednak zaczyna się realizacja owego dobrobytu arabskiego, okazuje się nagle, że skorzystają na niej nie ci, którzyby powinni skorzystać. W tym wypadku zarobi angielski przedsiębiorca. Innym razem będzie to arabski effendi. Dla arabskiego chłopa, robotnika, czy handlarza jest to właściwie obojętne.

Jeżeli na polu gospodarczym przełamał Wouchope częściowo tę linię polityki kolonialnej i prowadził politykę, która rzeczywiście pomogła fellachom, to politycznie nie usiłował on jednak zejść z tej wydeptanej ścieżki. Od projektu rady legislatywnej do stosunku do obecnego arabskiego komitetu naczelnego, można dostrzec linię traktowania effendich i muftich, nietylko jako faktycznych władców narodu arabskiego, ale również jako prawdziwych reprezentantów i wyrazicieli jego woli i pragnień. Metoda traktowania władczych aspiracyj przywódców jako ideałów ludu musi konsekwentnie prowadzić do tego, że rezygnuje się z każdej próby uwolnienia mas z pod dyktatury ich przywódców. Do czego to prowadzi — widzimy dobrze w Palestynie.

Właściwie drobnostka — historia kontraktu o robotę na 50 tys. funtów szterlingów. Ale drobnostki czasem oświetlają sprawę nie gorzej od rzeczy wielkich.

Tel-Aviv 8. V. 1937 r.

Dr. M. Weiseman

Od Choińskiego do ks. Trzeciaka

Nowe ataki na żydostwo zastały nas Żydów niestety nieprzygotowanych do ich odparcia. Rozkwit demokracji, parlamentaryzmu i wolności w wielu krajach po zakończeniu wojny światowej, pozwoliły nam słusznie spodziewać się, że średniowiecze ze swą ciasną częstokroć logiką religijno- klerykalną i ekskluzywną agresywnością bezpowrotnie minęło, że droga do wzajemnego porozumienia między poszczególnymi narodami i wyznaniami została ostatecznie utorowana. Na różnych konferencjach i kongresach międzynarodowych wygłaszano podniosłe przemówienia, w których przyznawano każdemu narodowi słuszne i należne mu prawa i wskazywano równocześnie na jego pozytywne wartości, jakimi przysłużył się ludzkości. Odnosiło się to w równej mierze i do narodu żydowskiego, u którego podnoszono dziejowe jego zasługi bądźto w jego twórczości rodzimej na polu etycznym, bądźto jego udział, aczkolwiek czasami anonimowy, w tworzeniu, urabianiu i bogaceniu kultur poszczególnych krajów.

Ale trwało to tylko krótką chwilę. Zwolna zaczęły pojawiać się destruktywne siły, działające najpierw w ukryciu, a potem wybuchające nagle jak żywioły nie dające się zażegnać.

Rozumie się, że przede wszystkim rozkład ten dotknął żydostwo, którego czynność uśpiona i omamiona gołosłownymi oświadczeniami o powszechnym idealizmie międzynarodowym i o uszanowaniu ich przekonań narodowych i religijnych straciła dawną wrażliwość i odporność na ataki z zewnątrz. Przejęty, jak nikt bardziej „mesjanistycznymi" snami o lepszej przyszłości naród żydowski z początku nie reagował wcale na tę zmianę nastrojów w naiwnym przekonaniu, że sa to odosobione wybryki. Ten kwietyzm Żydzi drogo później opłacili, bo hydra, której odrazu głowy nie urwano, rozrastała się wszechpotężnie i zaraziła swym jadem otoczenie, szerząc inwektywy mogące wpawdzie wprawić w dobry humor ludzi fachowych, ale z drugiej strony niebezpiecznych dla szerokich kół czytelników, dla których pisma tego pokroju są przeznaczone. Szczególnie groźne mogą się stać takie naukowe czy pseudonaukowe rozprawki i broszury, jeśli ich autorami są księża, którzy wydaniem tych publikacyj stwarzają pozór, że wyrażają oficjalne poglądy kościoła albo że czynią to za wskazówkami i zaleceniami swych władz przełożonych, co przecież — chcemy w to wierzyć — nie odpowiada rzeczywistości.

Mała to i „cienka", choć liczna w tomach (dziesięć książek za cenę 4.50 zł.) owa „literatura żydoznawcza", która ma informować świat nieżydowski o tym, co się dzieje wśród Żydów i z jakimi planami nosi się żydostwo w stosunku do krajów europejskich i Polski. W szumnych, wiele zapowiadających tytułach, jak: „Żydzi, a świat chrześcijański", „Niebezpieczeństwo żydowskie", „Rola światowa żydostwa", „Rząd żydowski dotychczas istniejący", „Co Żydzi robili w Polsce" i t. p. pragną autorzy skondensować emocjonalny materiał zawarty w książce. Dwa nazwiska figurują na tych książeczkach: T. J. Choińskiego (autora „Historii Żydów w Polsce, Tiary i Korony i w. in.) oraz ks. J. Kruszyńskiego, profesora Seminarium Duchownego w Włocławku. Obaj wrogo ustosunkowani do Żydów i judaizmu, którego źródłowo nie badają ani nie analizują, posługują się w swej argumentacji cytatami z „Protokółów dożerczych, którymi bezkrytycznie popiemędrców Syjonu" albo z innych pism żyrają swe wywody najeżone szeregiem

Leon Baumberg

MARMURY I STAROŚĆ

(W sanktuarium wielkiego rzeźbiarza — Józefa Gabowicza)

Józef Gabowicz... Nazwisko to jest już dzisiaj nawet dla wielu znawców sztuki rzeźbiarskiej pustym dźwiękiem, lub jakimś nieskontrolowanym, mglistym przypomnieniem z dawnych lat. Nazwisko to nic już dzisiaj nikomu nie mówi, żadnych nie budzi asocjacyj, żadnego nie wywołuje echa. Albowiem Józef Gabowicz — dziś już starzec przeszło siedemdziesięcioletni, w dawnej przedwojennej epoce wielki i szczery artysta, uczeń Thomasa i Rodina, twórca wspaniałych biustów Chopina, Słowackiego, Moniuszki i Fredry, twórca śmiałych i niezwykłych wprost kompozycyj rzeźbiarskich odznaczonych na wystawach w Paryżu, Belgii, i Warszawie złotymi medalami — został przez współczesnych zupełnie zapomniany. Józef Gabowicz, niedoścignony niegdyś mistrz i nauczyciel całego pokolenia młodych żydowskich artystów, rzeźbiarz o wielkiej wiedzy i europejskim rozmachu, zignorowany przez współczesnych spędza ostatnie swe lata w tragicznej samotności. Albowiem Józef Gabowicz nie umiał dostosować się do nowoczesnych, skomplikowanych wymagań reklamy i bluffu, do nowoczesnych metod „przypodobania się" krytyce i publiczności, nie umiał zrezygnować z własnych ambicyj twórczych na rzecz taniego blichtru i szablonu. Pozostał więc sam ze swym wielkim dziełem, któremu poświęcił najserdeczniejszy trud długiego i owocnego, żywota, pozostał sam ze swą późną, głęboką starością, otoczony tragiczną zmową milczenia.

Nie znalazł się dotąd nikt, który by z pod gruzów tej niedalekiej przeszłości zechciał wydobyć już nie samego Gabowicza, przykutego od paru lat do łóżka na skutek paraliżu, ale jego dzieło, tę bogatą puściznę rzeźbiarską, ów wspaniały las posągów i rzeźb, zapełniających jego pracownię do dziś dnia i napróżno czekających na kogoś, kto by je wydobył na światło dzienne i pokazał ich dostojne piękno.

Zbyt wielu widać posiadamy artystów, zbyt nagminnym jest u nas objaw wielkiego talentu rzeźbiarskiego, by móc jeszcze pamiętać o Gabowiczu, o jednym z naszych największych mistrzów minionego pokolnia. Bolesna prawda! I nie wstydźmy się jej spojrzeć w oczy.

* * *

Wąska ulica najeżona „kocimi łebkami". Śliska 28, dom Gminy Żydowskiej — zwykły, szary, odrapany. Szerokie, krzywe i wytarte schody prowadzą na trzecie piętro — do pracowni rzeźbiarza Józefa Gabowicza, który zajmuje dwa pokoje — łaskawy dar Gminy. Ciężkie są schody prowadzące do pracowni Gabowicza. Na tej samej klatce schodowej znajdują się szkoły gminne. Dzieci w czasie przerw biegają po schodach w dół i w górę. „Biorą" przeszkody zwinnie jak szybkobiegacze. W gwar ten szkolny, niemilknący do późnej godziny wieczorowej, wcisnęła się jak intruz — pracownia Gabowicza. Wbiła się klinem ciszy i powagi w ten dom szary i odrapany, w to życie zwykłe i codzienne, które przelewa się tutaj potokiem codziennych spraw i kłopotów. Ciężko skrzypią podemną wytarte schody. Wspinam się do pracowni Gabowicza z uczuciem świętej misji, jaką mam do spełnienia, z uczuciem człowieka, na którym ciąży obowiązk naprawienia fatalnego błędu lub fatalnej omyłki, jakiej dopuściło się społeczeństwo żydowskie wobec starego, zasłużonego rzeźbiarza. Idę z tym przeświadczeniem, że za chwilę, gdy nacisnę klamkę, gdy otworzę drzwi tej pracowni, gdy wejdę do wnętrza i uścisnę drżącą dłoń Gabowicza — stanie się doprawdy coś ważnego, że może zdołam choć na krótko, choć przez krótki czas trwania mojej dłoni w jego — zrehabilitować nas wszystkich i — przeprosić wielkiego rzeźbiarza. Idę do Józefa Gabowicza z wyraźnym uczuciem wstydu.

Nie szukałem żadnej okazji, żadnego pretekstu, by odwiedzić jego pracownię. Dziś nie mija wcale sześćdziesiąty, ani pięćdziesiąty ani czterdziesty jubileusz jego pracy artystycznej. W ogóle nie ma żadnego jubileuszu. Zdaje sobie sprawę, że nie jestem aktualny i bynajmniej o to nie zabiegam. Chcę wiedzieć po prostu — jak żyje Józef Gabowicz, jeden z nielicznych naszych rzeźbiarzy, sędziwy mistrz dłuta.

* * *

Drzwi otwiera starsza siwa pani. Żona rzeźbiarza. Wizytę moją uprzedziłem telefonem, jest więc poinformowana o wszystkim i prowadzi mnie prosto do męża.

Gabowicz siedział przy nie dużym stole, nakrytym ceratą. Czytał gazetę. Przywitał się serdecznie. Całą jego postać wchłaniał duży, staroświecki fotel. Tylko siwa i dumna głowa unosiła się wysoko nad krzesłem, a głęboko osadzone, dobre oczy patrzały na mnie z wyraźną ciekawością.

— Przyszedł pan jednak — — rzekł gdy zająłem miejsce tuż obok niego.

Czułem, że jest to wyrzut za półgodzinne opóźnienie.

— Ja bardzo przepraszam...

— O, nie warto mieć skrupułów — przerwał — ale rzecz ciekawa: ludzie się jakoś często spóźniają do Gabowicza, czasem nawet o parę lat, a czasem — o kilkanaście...

Słowa te wypowiedział Gabowicz już tylko z pogodą ducha, z tym charakterystycznym spokojem i uśmiechem wewnętrznym, na jaki zdobyć się mogą ludzie, którzy przezwyciężyli już w sobie wszystko, którzy już całe życie mają właściwie za sobą.

Pokój, w którym znajdowaliśmy się był bardzo obszerny, przedzielony kotarą. Tutaj przy stole, nakrytym ceratą, upływa teraźniejszość Gabowicza, nad którą czuwa jak anioł opiekuńczy starsza, siwa pani. Ale nawet anioł nie zawsze zdoła wyczarować — niezbędne potrzeby dla dwojga żyjących ludzi. Dlatego niemal każdy dzień jest tutaj bolesnym doświadczeniem, heroicznym zmaganiem się, surową walką. Nisko nad ceratą płonie elektryczna żarówka. Rysy ceraty, jej popękana i pomarszczona powierzchnia uzmysławiają niezwykle plastycznie dzieje tego pokoju, pełnego trosk o najprymitywniejsze codzienne potrzeby. Po tamtej zaś stronie — za kotarą — zakute w bronz i marmur stoją pomniki wielkiej twórczej przeszłości Gabowicza. Stoją żywe świadectwa jego geniuszu.

Wsłuchany w harmonijny rytm jego zdania, w słowa, które wypowiada ze szlachetną emfazą i liryzmem, odtwarzam sobie po kolei niezwykłe dzieje tego człowieka, który wyrwawszy się siłą z ciasnej atmosfery małomiasteczkowej, dotarł do wielkich ośrodków europejskich, otoczony chwałą i uznaniem, by później po latach fatalnym zrządzeniem losu osiąść — na Śliskiej ulicy w Warszawie, w dwóch gminnych pokojach. Przewija się przed moimi oczyma nędza małego miasteczka, tragiczny byt wielu stłoczonych w ciasnych zaułkach rodzin żydowskich, nędza, która rodzi czyn, budzi i uświadamia. Jako chłopiec ośmioletni zaczął już rzeźbić. Oglądam dwie jego pierwsze prace, rzeźbione igłą w graficie. Wspaniałe miniaturki, arcydzieła, które sędziwy artysta do dziś dnia przechowuje z niezwykłym pietyzmem. Józef Gabowicz zaczął swą pracę artystyczną w okresie, kiedy poza modlitwą, talmudem i chederem — wszystko było „herezją" i „odszczepieństwem". Ale ten instynkt artystyczny szybko rozwinął się w namiętność, w pasję szaloną i świętą, w „świeckie szaleństwo". Gabowicz z Tykocina udaje się do Łomży a później pieszo do Warszawy. Idzie po wiedzę i wolność, jak pielgrzym do Ziemi Świętej.

Stolica przyjęła młodego, nieznanego nikomu rzeźbiarza, jak przyjmuje wielu bezimiennych przybyszów. Głód, poniewierka, twarda ławka latem w ogrodach, a zimą na peryferiach miasta w czarnych izbach, w dziesiątkę, w dwudziestkę, na podłodze, na słomie, na sienniku. Byle gdzie. Byle oprzeć gdzieś skołotaną szaleńczymi marzeniami głowę. Aż kiedyś w Ogrodzie Saskim zemdlał Gabowicz. Ocucił go jakiś starszy poważny pan dr. Frenkel, lekarz, a jednocześnie — mecenas sztuki. Nazajutrz był już Gabowicz u rzeźbiarza Kucharzewskiego, który po sześciu miesiącach nauki posłał go na swój koszt i doktora Frenkla do Petersburga na Akademię. Biedny młodziutki rzeźbiarz z Tykocina w Petersburgu — na Akademii!

Sześć lat trwały studia. Już w sierpniu 1883 roku prof. Wojciech Gerson wydaje młodemu rzeźbiarzowi zaświadczenie, w którym pisze: „wyrobiona przez Gabowicza pieczątka świadczy o jego niezwykłych zdolnościach rysowniczych i plastycznych".

W parę lat później otrzymuje Gabowicz odznaczenie „Sowieta Akademii" za roboty z gliny a w roku 1893 nagrodzony zostaje — srebrnym medalem. Żydożercze pismo „Nowoje Wremia" pisze o Gabowiczu entuzjastyczny artykuł. I w bardzo krótkim czasie na balu w „Dworjanskom Kłubie" przedstawiono żydowskiego chłopca z Tykocina — cesarzowej rosyjskiego imperium..

A potem? Paryż, Thomas i Rodin, gorączka pracy, uznanie i — głód. W dalszym ciągu głód, wierny przyjaciel i towarzysz Gabowicza. Pracuje w fatalnych warunkach. Po 30—40 godzin. W jednej ręce trzyma święcę — drugą rzeźbi. W Salonie Paryskim wystawiono jego rzeźbę „Samoobrona". Otrzymał nagrodę. Entuzjazm dla młodego rzeźbiarza — wielki. Kim jest Gabowicz? — pytają wszyscy. Ale Gabowicza nie było na wystawie. Przemęczonego i wyczerpanego twórcę zabrano tego dnia do szpitala..

Zawiązuje się serdeczna przyjaźń z Thomasem i Rodinem. Niezapomniane dla Gabowicza są chwile spędzone z genialną Sarą Bernhard, którą rzeźbił jako „Orlątko".

Przeglądamy wspaniały album artysty. Czego Gabowicz z wrodzonej mu skromności nie chce powiedzieć — zdradza nam album. „Samoobrona" powędrowała aż do — Sjamu, zakupił ją król sjamski do muzeum narodowego w Bangkoku. Monumentalna rzeźba „Spragniony" znajduje się w Liverpool, „Rybak" — w Muzeum w Brukseli. Po raz pierwszy wystawia w Polsce swe prace w roku 1901, w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. Najpóźniej staje się artysta prorokiem we własnym kraju. W roku 1904 wpisała się do jego albumu w Druskienikach — Eliza Orzeszkowa. Oto co pisze: „...Jak bogowie w baśniach, tak poeci i artyści w rzeczywistosci posiadają dar przemieniania znikomości w nieśmiertelność. Oby dłuto rzeźbiarza połączyło się z myślą poety dla nieśmiertelności w sercach pokoleń potężnych i cudnych postaci Irydiona i Elsinei...".

W tym pięknym albumie widnieją jeszcze nazwiska takich znakomitości, jak Nahum Sokołów, prof. Łuniński, Wawelbergowie, Bersonowie, Ejgerowie, Jaffe, Korczak, prof. Lewiński...

Żona rzeźbiarza, anioł opiekuńczy wielkiego artysty, który już sam poruszać się nie może, który od paru lat cierpi na paraliż nogi — oprowadza mnie po pracowni męża. Wspaniałe popiersia, marmury, z których wydobyć zdołał Gabowicz cudowne wizje życia, marmury, które natchnął swym geniuszem, którym kazał żyć — lśnią swym niesamowitym pięknem z każdego kąta tej niezwykłej pracowni. Oto uśmiecha się do mnie swym bajecznym kształtem ciała, swą subtelną linią i zwiewnym wdziękiem — tancerka, baletnica, kult linii i ciała, zmysłowa radość życia. Oto znów stoi ciężki i twardy w swym uporze robociarz, w szarej bluzie, wielki symbol naszej epoki. A nieco dalej — niepokojąca w swej mądrości i zadumie — głowa myśliciela. A potem — chłop, któremu córeczka odczytuje list, przybyły z dalekiej Ameryki, „wieści z za oceanu". Ach, te twarze i oczy, żądne wieści, głodne świata, ten wielki niepokój życia zaklęty — w żywych kamienach! To wszystko koncentruje się w dużej, ponurej izbie, na ulicy Śliskiej — w szarym, odrapanym domu. Gdzie jest Wydział Kultury Ministerstwa? — zapytał kiedyś znany dziennikarz warszawski po odwiedzeniu pracowni Gabowicza. Nie dziwiłbym się wcale — dodał — gdyby pewnego dnia sędziwy rzeźbiarz rozbił młotem wszystkie swe prace...

Sic transit gloria? Odpowiedzialność wobec historii, wobec przyszłych pokoleń, które podziwiać będą sztukę Gabowicza — ponosimy my. My wszyscy, którzy pozwalamy na naszych oczach ginąć wielkiemu mistrzowi dłuta. Wszyscy ci, którzy z tragiczną niezrozumałą i nigdzie nie spotykaną lekkomyślnością przemilczają jego krzywdę, lub nie chcą o niej pamiętać. Cierpi na tym już nie sam Gabowicz, ale prestiż naszej całej sztuki, autorytet narodu, który jedynie w osiągnięciach ducha widzi najwyższe swe posłannictwo i jedyną rację swego wielowiekowego istnienia.

Wróciłem do stołu, przy którym siedział Gabowicz, z uczuciem niewymownego wstydu. Tak się chyba wstydzić musieli Polacy, gdy w tragicznym osamotnieniu zestarzał się — Norwid.

---

nieścisłości i niedokładności. Celem „odsłonięcia" prawdziwego oblicza Izraela i poparcia swej obiektywności przytaczają obaj autorowie wiele cytatów z prasy i mów osobistości żydowskich, by w ten sposób nikt nie podał w wątpliwość ich wywodów, lecz by każdy wierzył święcie w ich słowa, które są tylko powtórzeniem wypowiedzeń samych Żydów. Że jednak i tu zachodzą wypadki niedopuszczalnego i tendencyjnego interpretowania słów wyrwanych z kontekstu. bez związku z całością, przeto i ten rodzaj dowodzenia jest nieodpowiedni i subiektywny.

Trudno wdać się w polemikę z zarzutami wysuniętymi pod adresem Żydów w tych broszurkach. Jest to bowiem problematyka z dziedziny „eisenmengarianizmu" i „pfefferkornizmu" nie zawierająca żadnych nowych motywów z wyjątkiem aktualnej w znaczeniu historycznym treści, dostosowanej do znanego już dawniej tonu oskarżającego i pomawiającago Żydów o dążenie do panowania nad światem i zniszczenia chrześcijaństwa.

Nakaz taki zawierają rzekomo wszystkie księgi żydowskie bez wyjątku, począwszy od najortodoksyjniejszych i najpobożniejszych, jak talmud i literatura rabiniczna, a skończywszy na zupełnie świeckich często niezwiązanych wcale z pozytywnym żydostwem,, lecz przeciwnie je zwalczających i burzących, jak socjalizm lub komunizm. Atakuje się zatem żydostwo i jego naukę nie tylko w jego założeniach budujących i twórczych, ale nawet w tworach, które nie mają z judaizmem nic wspólnego, którym tylko zupełnie przypadkowo dali początek ledwie wywodzący się w drugim czy trzecim pokoleniu od Żydów, ludzie, którzy często byli i są wrogami żydostwa, jego przeszłości i przyszłości. Wystarczy przytoczyć kilka przykładów, które zilustrują nam sposób i tok rozumowania wymienionych autorów.

Oddajmy wpierw głos -T. J. Choińskiemu (autor ten umarł w 1920 r., ale jego pisma nadal rozpowszechnia „Bibliotywną oceną autora, oznacza w ogóle klęteczka żydoznawcza"), który jest autorem, znanym ze swych wystąpień antysemickich jeszcze w prasie i publicystyce dawniejszej. A więc: Żydzi chcąc zapobiec uchwaleniu podatków przez sejmy przedrozbiorowej Polski spowodowali ich zrywanie, robiąc w ten sposób świetny interes na przekupstwie nikczemnych i sprzedajnych posłów. Przywódcy Żydów usiłują zniszczyć wszystkich innowierców za pomocą pieniędzy, programów wywrotowych oraz dziennikarstwa, by zawładnąć całym światem. W tym celu Żydzi nie wahają się nawet przed przyjęciem chrztu, a postępowi i neofici robią wszystko, by pogrążyć chrześcijan w nędzy i ciemności. Zawsze działają oni jako emisariusze „rządu żydowskiego", który do 500 r. po Chr. istniał jawnie, a od tego czasu jest zakonspirowany i tajny. Czuwa nad swoimi poddanymi i broni ich przed niespawiedliwością „gojów". Słuszność wywodów ma poprzeć zestawienie głosów o Żydach (w broszurce p. t. „Co myśleli i myślą dotąd o Żydach mężowie wybitni i uczeni różnych narodów"), gdzie przytoczone są wypowiedzi i zdania znanych antysemitów wszystkich krajów i czasów.

Nie o wiele dalej odbiega od tych pism „literatura" ks. Kruszyńskiego. Obszerniejsza i bogatsza w cytaty stara się ona wzorem pism Choińskiego uświadomić i ostrzec społeczeństwo polskie przed Żydami. Oceniając żydostwo z historycznej perspektywy (oczywista w swoisty ujemny sposób, który jest ze wszechmiar „niehistoryczny") autor „otwiera" światu, a przede wszystkim Polsce oczy na „rolę światową żydostwa", ubolewając m. in. nad tym, że „premier Sikorski, polityk pokroju Piłsudskiego" zanulował rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych Kamieńskiego (z 1922 r.) wydalające z granic Polski Żydów uchodźców z Rosji. Cały czas rządów J. Piłsudskiego, którego działalność nie spotyka się z pozyskę kulturalnego elementu polskiego na kresach Państwa, z czego skorzystali Żydzi, by wystąpić do walki z państwowością polską. Wielkie jest niebezpieczeństwo żydowskie, czego dowodzą cytowane dosłownie wyjątki. „Protokołów mędrców Syonu", gdzie zaleca się Żydom opanować wszystkie dziedziny życia we wszystkich krajach, by zdeprawować, zatruć i zniszczyć. A wszystko czynią w myśl przepisów Talmudu, owej księgi, która dla Żydów jest „świętsza niż Pismo Święte", a której zadaniem jest zgotowanie zagłady chrześcijaństwu. Ten cel — nienawiść i chęć zniszczenia chrześcijaństwa — jednoczy wszystkich Żydów bez wyjątku, ortodoksyjnych i liberalnych, religijnych i niereligijnych, narodowych i asymilatorów, ba nawet neofitów i odszczepieńców, w drugim i trzecim pokoleniu, bo np. „Karol Marks obmyślając zasady socjalizmu miał na względzie zemstę nad chrześcijaństwem, które jego ojciec był zmuszony przyjąć, byleby uzyskać urząd państwowy." Ks. Kruszyński przytem zastrzega się, że nie można go posądzić o antysemityzm, bo semitami są przecież również „Arabowie, Syryjczycy, Abisyńczycy (mała pomyłka!) i wiele innych pomniejszych plemion ,których ruch antysemicki zresztą wcale nie dotyczy. Ruch przeciwżydowski nie wypływa w ogóle z budek rasowych (sic!), gdyż rasa semicka niczym nie grozi narodom Europy czy Ameryki. Należy raczej mówić o „antyjudaizmie", który jest odpowiednikiem istniejącego u Żydów „antygoizmu". Antyjudaizm atakuje Żydów nie za ich przynależność do rasy semickiej, ale za ich judaizm, który „wymierzony jest przeciw idei chrześcijańskiej w ogóle, a przeciw religii katolickiej w szczególności" (?).

Całokształt tej „literatury", która ukazała się jeszcze przed kilkunastu laty, nie interesowałaby nas może dziś tym bardziej, że koła, które reprezentuje, z pewnością już dziś pod niejednym względem zrewidowały swe poglądy w tej materii. Mimo to pisma te nie straciły na aktualności, skoro antysemicka prasa rozpisuje subskrypcję na ich rozpowszechnienie. Znajdują one zresztą i ich „idee" należyte ujście w pracy innego „żydoznawcy", który ostatnio doszedł do głosu, a mianowicie w „dziełach" „enuncjacjach, wywiadach i artykułach ks. Trzeciaka. „Fachowiec" ten posługujący się cytatami z judaizmu w tłumaczeniach i przeróbkach najgorszej proweniencji w przeprowadzonej ostatnio ankiecie „Mago Dziennika" (R. III. Nr. 100/101, dn. 11/12 kwietnia b. r.)" w sprawie komunizmu zabiera głos w artykule „Komunizm a Żydzi", gdzie streszcza po prostu dzieła Choińskiego i Kruszyńskiego, posługując się w zupełności ich metodą i naśladując ich sposób dowodzenia. „Komunizm to wielkie oszustwo żydowskie, a kto mówi o komuniźmie, a nie mówi o Żydach, ten nie ma wprost pojęcia, co to jest komunizm, bo komunizm i judaizm to prawie równoznaczne pojęcia. Twórcą komunizmu jest Żyd Marks, pomocnikami jego i propagatorami komunizmu byli i są prawie Żydzi, celem komunizmu jest cel żydowski: opanowanie świata przez Żydów". Oczywista, że ks. Trzeciak czyni zadość wymogom „naukowym" nowoczesnej rasologii, której jest wyznawcą, bo wzywa „wszystkie narody aryjskie (czemu nie chrześcijańskie?) oraz poszczególne warstwy społeczne w poszczególnych państwach, by się złączyły dla zachowania odporności przeciwko zakusom komuno-żydowskim".

Bezcelową jest dyskusja na temat żydostwa z ludźmi, którzy identyfikują komunizm z judaizmem, którzy operują argumentacją starszej, już w swoim czasie skompromitowanej naukowo i moralnie generacji antysemitów i dla których źródłem wiedzy o Żydach i żydostwie są „Protokoły mędrców Syonu". Musiałoby się na nowo wywlec cały arsenał broni rzeczowej i merytorycznej zadającej kłam tym wszystkim insynuacjom pomawiającym Żydów i ich naukę o tajne, ukryte i wrogie cele w stosunku do swego otoczenia, a nade wszystko w łączność judaizmu z komunizmem. Kto zna zasady judaizmu biblijno-talmudycznego nie z paszkwilów i marnych przeróbek wychrztów, odszczepieńców i żydoznawców, ale z oryginalnych tekstów hebrajsko-aramejskich, ten z pewnością nie będzie wierzył w historyczny falsyfikat, jaki zawierają „Protokoły", ani nie będzie bajał o jakimś tajnym rządzie żydowskim. Uczeni, jak Nöldeke, Strack lub Wünsche nie mogą bredzić o jakimś niebezpieczeństwie żydowskim w świecie, gdyż uczeni w judaizmie, jakkolwiek płynęła w nich czysta krew aryjska, sięgnęli do zródeł, by tam odkryć prawdziwe, wierne oblicze judaizmu, a nie takie, jakie znał nieuk tej miary, co Rohling lub Pranajtis. Taksamo kto zna gehennę żydostwa narodowego i religijnego w powojennej Rosji, z pewnością nie będzie twierdził, że bolszewizm to judaizm, bo statystyki o udziale Żydów w biurokracji, armii i partii czerwonej mówią wręcz coś odmiennego. A zwalanie winy za „liberum veto" i zrywanie sejmów na Żydów jest chyba niczym innym jak tylko odwróceniem uwagi od pewnych ujemnych cech szlachty Polski przedrozbiorowej, co już napewno jest gwałtem dokonanym na prawdzie historycznej. Nie mniej śmiesznym jest doszukiwanie i dopatrywanie się jakiejś urojonej chyba zmowy między żydostwem a jego odszczepieńcami, bo z nimi chyba żydostwo zrywa wszelkie węzły i stawia ich pod bojkotem nie tylko wyznaniowym, ale częstokroć także społecznym i towarzyskim.

Szkoda naprawdę, że żydoznawcy nasi nie mogą sięgać do źródeł judaizmu, gdzie niejedną wiadomość pożyteczną dla siebie mogliby zaczerpnąć. Jaka szkoda, że kompendium o judaizmie naukowo opracowane z podaniem oryginalnych źródeł, jest im — nieznane! Wówczas napewno ta cała falanga pseudo-żydoznawców od Choińskiego do Trzeciaka — zrozumiałaby nonsens swej pracy i moralną nicość swych wywodów.

Stefan Pomer

POKŁOSIE POEZJI ŻYDOWSKIEJ

W alei gipsowych Muz, u wejścia do Saskiego Ogrodu, jest jedna — jakoś szczególnie szczerbata i nadkruszona przez t. zw. ząb czasu — dama, prezentująca na swoim cokole odpowiednio staroświecki napis: „POEZYA". Zdarzyło mi się w tych dniach, w piękny słoneczny ranek, że przechodząc przez ogród, przystanąłem przed owym alegorycznym gipsem i zajrzałem w jego zwietrzałe oblicze. Horribile visu! Jakże się zestarzała córa Zeusa i Mnemozyny! Zbrzydło, biedactwo, źle ubrane. Sukienczyna, żal się Boże! Obfity biuścik. Kok na głowie. Sztuczna poza. O! żałości...

— Biedna „Poezyo" — wołałem ku niej w myśli — jesteś passe. Jesteś niemodna, niewspółczesna, staroświecka, nieinteresująca. Jesteś po prostu śmieszna...

Tak dumałem żałośnie, a wiosenne słońce świeciło mi w twarz. I ciepły wietrzyk wiał. I pachniały rozkwitające drzewa. A z takich rzeczy robi się, jak wiadomo, niepokój i popłoch w sercu. Zachciewa się różnych głupstw: marzyć, kochać, czytać wiersze... I śmiesznie szczerbaty posąg Muzy rozkwita promienną pięknością i uwodzi urokiem ciała...

W takim wiosennym i muzaicznym nastroju wróciłem do domu, rozmyślając o tej sile fatalnej, która takich dokonuje przemian, która sprawia, że czar poezji wiecznie nad nami trwa, że go nie zdoła zniweczyć żadna trzeźwa współczesność i nie zgryzie żaden t. zw. ząb czasu. Na biurku piętrzy się (o, smętna dolo recenzenta!) stos nieczytanych, ziejących jednym wielkim wyrzutem sumienia książek. Odsuwam okazałe tomiska powieści, pchające się natrętnie pod rękę i sięgam po wstydliwie i skromniutko wzdychające pod ciężarem „poważnych" dzieł — książeczki poezji. Szeleszczą dziewiczo kartki. Przerzucam tomik po tomiku: raz — dwa — pół tuzina. —

Przypomina się pewne francuskie powiedzenie: „La poesie? — ca ne s'est jamais vendu; c'est toujours dedicace" (poezja? — tego się nie sprzedawało nigdy; to sie zawsze dedykuje). Ten cyniczny aforyzm stosuje się chyba najdobitniej do poezji żydowskiej. Żadna poezja traz „nie idzie". A cóż dopiero żydowska, która nie tylko, że nie ma wydawców, ale nie ma i czytelników, nie ma krytyków, nie ma nawet pozorów zapotrzbeowania. Poeci ją sami podtrzymują, sami wydają, sami może też tylko czytają, nie licząc leniwych recenzentów, którym się dedykuje obowiązkowe egzemplarze, zalegające cierpliwie biurka, aż nadejdzie chwila muzaicznego nastroju...

A więc dalej. Każmy jej przemówić. Po kolei. Najpierw dama.

RACHEL H. KORN: „Rojter mon". Wyd. Żyd. Pen Klubu. Warszawa 1937. str. 80. Okładka M. Reifa.

Rachel Korn jest poetką o ustalonej marce. Jej pierwszy zbiorek wierszy był przed sześcioma, czy siedmioma laty zjawiskiem niemal że rewelacyjnym. W chórze żydowskich poetów, czerpiących przeważnie tematy z tradycyjnych warunków naszego bytu, opiewających miejski, lub małomiasteczkowy pejzaż, rozebrzmiał głos odrębny, podejmujący nowy, świeży motyw — motyw wsi, przyrody wiejskiej, wiejskiego życia, wiejskich ludzi. Bo jeśli posiadamy w literaturze żydowskiej utwory, traktujące tematy wiejskie, niekiedy nawet w bardzo intensywnej postaci, jeśli istnieją tacy pisarze, jak Dawid Koenigsberg, Beer Horowitz, ściśle związani z życiem wsi, to w twórczości Rachel Korn mamy świadomą i programową twórczość wiejską, chłopską, rolną, nie ograniczającą się tylko do tematyki, ale kształtującą wizję twórczą według pojęć i emocji jednostki, związanej z rolą. Pod tym względem poezja Kornowej, czerpiąca wszystkie przedstawienia i pojęcia w każdej dziedzinie myśli i wzruszeń z zakresu wiejskiego życia — jest jedyna w literaturze żydowskiej i odcina się tym wyraźniej na tle wszechwładnie panującego w tej poezji urbanizmu.

Pierwszy tom Kornowej p. t. „Dorf" stał pod wybitnym urokiem jesieninowskiego imaginizmu. Obecnie wydana jej książka wskazuje na tendencję przełamania maniery metaforycznej. W obecnym zbiorku nie ma już tego pyszniącego się nadmiarem stłoczonych obrazów wirtuozerstwa, nie ma pogoni za oryginalną możliwością wyrazu emocjonalnej treści poetyckiej wizji, a zaznacza się skłonność ku prostocie i bezpośredniości. Tom składa się z dwóch cyklów, z pięknych, bardzo szczerych w wyrazie artystycznych erotyków i obrazków, portretów, wspomnień z wiejskiego życia. W tym rodzaju Kornowa cluje. Tu jest sobą. Tu wyraża się w pełni jej indywidualność poetycka. Dochodzi do głosu wieś, ziemia, rola, życie wiejskie, ludzie związani ze wsią, oficjaliści dworscy, służba folwarczna, pachciarze, gorzelnicy, całe milieu wymierających już obecnie „dorfsjiden", które poetka świetnie zna, z którego wyrosła, w którym żyje. I jeszcze coś: wieś Kornowej nie jest bezimienna, ale ściśle określona w charakterze i nastroju. Jest to wieś chłopów ukraińskich we Wschodniej Małopolsce. Są to więc wiersze nie tylko wiejskie, ale i regionalne.

NUCHEM BOMZE: Li-taj-pe. Parafrazy. Wyd. Żyd. Pen Klubu. Warszawa 1937. str. 40. Okładka M. Reifa.

Niecodziennym wydarzeniem w poezji żydowskiej są transpozycje poetyckie genialnego chińskiego poety z VII w. Li-taj-pe, dokonane przez młodego, utalentowanego poetę N. Bomsego. Tego wielkiego poetę z Dalekiego Wschodu odkryli dla Europy pacyfiści po Wielkiej Wojnie. W jego lirykach, malujących zgrozę wojennej pożogi, odnaleziono wzruszenia, nurtujące naszą epokę. Najświetniejsi poeci europejscy szukali natchnienia w prastarej poezji chińskiego wojownika i poety i transponowali jego cudne wiersze na swoje ojczyste języki. Obecnie także poezja żydowska doczekała się przekładów tego starożytnego mistrza liryki.

Autor tych przekładów dał się dotąd poznać dwoma tomami ciekawych i świadczących o niewątpliwym talencie wierszy. Jego obecna parafraza z Li-taj-pe jest godna najgorętszej pochwały: wyczuwa się w niej urok i nastrój oryginału. Młody poeta potrafił oddać w języku żydowskiego ludu, w tym tak jeszcze do niedawna pogardliwie traktowanym „żargonie", cały wdzięk i delikatność prastarej, wyrafinowanej liryki chińskiego klasyka. Nie negując bynajmniej prężności i chłonności języka żydowskiego, należy jednak poczytać to autorowi parafrazy za zasługę i to nie tylko literacką, ale też poniekąd społeczno-kulturalną.

IZRAEL RABON: „Lider". Warszawa 1937. Wyd. Żyd. Pen-Klubu. str. 48. Okładka H. Barczyńskiego.

Tomik wierszy znanego pisarza łódzkiego, autora świetnych powieści o Bałutach, zaleca się oryginalnym jednolitym tonem, zdradzającym już na pierwszy rzut oka rasowego prozaika. Wiersze Rabona są bowiem jakby lirycznymi szkicami do większych epickich kompozycji. Ten tomik liryków sprawia wrażenie intymnego notatnika prozaika, chwytającego na gorąco swe przelotne wzruszenia. Są to przeważnie liryki postaciowe, anegdotyczne, wiersze z akcją t. zw. obrazki. I trzeba dodać, że są to rzeczy niepospolite: świeże, oryginalne, uderzające swą spostrzegawczością i ostrością wizji twórczej. Taki wiersz, jak „A chasyne" przypomina fantastyczne groteski Chagalla swoją pasją i demonizmem. Podobne wrażenie sprawiają również wiersze-szkice o majstrze tkackim, doskonałym filistrze, który się powiesił z nadmiaru spokoju i dosytu, o służącej uwiedzionej przez alfonsa i zdychającej w norze piwnicznej. Ale obok tego umie też uderzyć Rabon w tak przejmujący i kryształowy ton liryczny, że nie sposób go określić żadnym omówieniem. Trzeba zacytować, aby dać jakieś o nim pojęcie:

„Ich zeh baj sztile wasern:
Farglywert sztajn frojen yn szwarce gewanten,
Szif fun majn ajnzamkajt,
Wi westi landen?"

A. SUCKEWER: „Lider". Wyd. Żyd. Pen-Klubu. Warszawa 1937. str. 102. Okładka M. Reifa. Portret J. Adlera.

Ten młodziutki wileński poeta z grupy „Jung-Wilne" wstępuje do poezji żydowskiej już jako gotowa i wyraziście zarysowana indywidualność artystyczna. Ba! — słusznie przypisać sobie może zasługę, że jest w poezji żydowskiej głosicielem pewnej własnej ideologii pewnego kierunku artystycznego, który możnaby nazwać „norwidyzmem".

Suckewer urodził się na Syberii. Jako młody chłopak powrócił do Wilna, gdzie uczęszczał do polskich szkół, poznał literaturę polską i rozmiłował się nade wszystko w Norwidzie, którego uznał za patrona swej żydowskiej poezji. Elementy rosyjskie, żydowskie i norwidowskie składają się w twórczości tego młodego poety na całość o niezwykle subtelnym smaku.

Obecnie wydany zbiorek jest nierówny. Są tu rzeczy słabe, młodzieńcze obok skończenie pięknych, doskonałych w swej klasycznej harmonii. Niezwykłe poczucie rytmu, umiejętność — niemal rzeźbiarska — zamykania treści emocjonalnej w aforystycznych zwrotach, zdyscyplinowana logika obrazowania, smak i kultura — oto rynsztunek, z jakim wchodzi do poezji żydowskiej ten młody debiutant. Już w tym zbiorku Suckewera znajdują się utwory, które są zdobyczą na tle ogólnej rzeczywistości poetyckiej. Należy się po nim spodziewać jeszcze bardzo dużo.

BORUCH GELMAN: „Welt yn cojm". Warszawa 1937. Wyd. „Mi". str. 118. Okładka M. Reifa.

Również debiut. Ale jakże inny od poprzedniego. Tam wszystko było szukaniem, natężeniem, dążeniem do odnalezienia siebie w odmęcie współczesnych form i wyrafinowania środków wyrazowych — tu nie ma śladu eksperymentów formalnych. Tu wszystko jest tylko treścią. Wiersze Gelmana: liryki osobiste, społeczne, krajobrazy, wspomnienia, a nawet rymowana publicystyka ujmują wdziękiem prostoty, autentyzmu, szczerości. Nie frapują pod względem artystycznym (chociaż nic im zarzucić nie można), ale za to posiadają wiele zniewalającego sentymentu. Kilka umieszczonych na czele tomu wspomnień o rodzinnym miasteczku stanowi najlepszą partię tego obszernego zbioru. Gelman posiada szczery instynkt poetycki, któremu jednak brak, być może, większej dbałości o kulturę formalną. W liryce obowiązuje nic co, ale jak się mówi. Zbyt często zdarzają się temu poecie zwrotki poprawnie banalne, aby nie należało mu ich wytknąć.

W sumie debiut Gelmana należy bezwzględnie ocenić pozytywnie, z zastrzeżeniami, z licznymi zastrzeżeniami co do strony formalnej poszczególnych utworów. A może należało wyeliminować wiele słabszych, młodzieńczych utworów? Wtedy wrażenie całości byłoby korzystniejsze.

F. GARFINKEL: „Bizn sof fun wejg". Łódź 1937. str. 80.

Na zakończenie wspomnę jeszcze tylko o poemacie Garfinkla, którego — wyznaję szczerze — nie mogłem doczytać do końca, chociaż, jak mi się wydaje, nie jest on całkiem niestrawny. Jest może tylko zbyt długi i utrzymany w zbyt monotonnym rytmie. Unikałem w swoim rodzaju złośliwości, lecz jest tu pewien fragment, który się da czytać z góry na dół i z dołu do góry. Trzeba to koniecznie zacytować:

„Cwyszen wołken dort der szteg
Iz curyk cum kynd der weg.
Syz dus sztibeł jenc fyn łajm
Wanderer, dajn wajte hajm.
In wynkel fyn der sztib baj ajch
Dort nor yz dajn kenigrajch.
Dort zyct noch alc dus kind of d'erd
In grojsen chulym ajngehert".

Tak poeta kazał czytać ten fragment i jak widać nie wywiera on zbyt piorunującego wrażenia. Ale spróbójmy i odczytajmy to samo na odwrót z dołu do góry:

Yn grojsen chulym ajngehert
Dort zyct noch alc dus kind of d'erd.
Dort nor yz dajn kenigrajch
Yn wynkel fyn der sztib baj ajch.
Wanderer, dajn wajte hajm
Syz dus sztibeł jenc fun łajm.
Iz curyk cum kind der wejg
Cwyszen wolken dort der szteg.

Czyż nie brzmi to już niemal, jak poezja? Należałoby może przepisać tak cały poemat z dołu do góry.

A może też należałoby tak samo przewrócić do góry nogami niniejsze sprawozdanie, które zaczęło się pod znakiem muzaicznego natchnienia, a kończy się fikaniem poetyckich koziołków?

Apella

ANIOŁ PRZY LINOTYPIE

Niemcy, hitlerowskie Niemcy już od trzech lat pieczołowicie dbają, aby nuda nie zapanowała na europejskiej arenie, aby zawsze coś się działo i kotłowało i wrzało. Aby ci brali się pomiędzy sobą za łby, tamci podcinali sobie nogi, aby w powietrzu dynamitem cuchnęło, a ludzie przeżywali niespokojne i złowieszcze chwile. A przyznać trzeba, że Niemcy są reżyserami znakomitymi. Na nerwach ludzkich umieją świetnie wygrywać koncerty, nagłym hałasem przerywać sen spokojnym ludziom, salwami nagłych wypadów ciszę mącić, karkołomne wyczyniać akrobacje, byleby tylko szary obywatel nie oddawał się miłej wiligiaturze. Zabawa to przyjmna i wesoła, choć trochę niebezpieczna, bo skończyć się może światową grandą, stosami trupów, zwaliskami wytrutych do czysta miast, wysadzeniem w powietrze samych reżyserów. Wysoko. W powietrze. Wśród kanonady gęstych wiwatów, ognistych i śmiertelnych.

A tymczasem berliński ferment pobudza szarego obywatela do ciągłej nerwowej czujności, wiecznego pogotowia i do permanentnej mobilizacji całej psychiki. Walą się więc na ludzkie głowy nadreńskie awantury, jakieś gwałcicielskie zamachy na wersalski traktat, walą się jakieś koszmary mobilizacyjne, jakieś formowane dywizje w sile 50.000, 100,000, 150.000, 200.000 ludzi! Już brak zadyszanym płucom oddechu, serca biją coraz silniej, ręce poczynają drżeć, ludzie szukają bezpiecznej przystani, trwałego gruntu pod nogami, zakątka ziemi, w którym mogliby kiedyś złożyć uznojone kości. A tu z hitlerowskiej kuźni, z wylęgarni strachu i niepokoju, inkubatorów śmierci z fabryki panicznej trwogi — dmą niesamowite huragany, zwiastujące burzę wielką, dziejową, piorunową. Już płonącą zygzakami błyskawicowych swastyk.

W Niemczech wre. Na całej ziemi wre. Bez śladu rozpłynął się sen zmęczonych ludzi o cichym życiu i wytrwałej pracy, o bezpicznym jutrze, niepodminowanym dynamitem nagłych katastrof.

Dzisiejsze Niemcy produkują niepokój. Świat popalonych miast, śmiertelna woń fosgenu, wizje rozkładających się trupów — krążą nad ludźmi i męczą ich i niepokoją i sen z oczu spędzają — okrutne obrazy, apokaliptyczne fantasmagorie, które pewnego dnia urzeczywistnić się mogą w krwawych i surowych faktach. Więc codziennie z biciem serca chwytasz gazetę i szukasz tragicznych nowin, codziennie spodziewasz się okrutnej prawdy, która jak ostrym lancetem przetnie dotychczasowy bieg wypadków i rzuci cię na prostopadły brzeg otchłani. I wiesz dobrze, że owa nowina wypłynie pewnego dnia tylko z niemieckiej metropolii, z map groźnego sztabu armii niemieckiej, z raportów Gestapo,z doniesień szpiegów i agitatorów, z równych szeregów landwehry, z fabryk amunicji, z zakładów Kruppa, z machiny piekielnej, kierowanej sprawną i silną ręką spadkobiercy krzyżackiej i pruskiej tradycji.

W Niemczech wre. Na całej ziemi wre.

A anioł zstąpił do podziemi.

Bo są jeszcze w Niemczech ludzie, którzy do lepszych chcą wrócić czasów, bo są jeszcze w Niemczech wielcy szaleńcy, którzy ponad wrzask tramtadracji i pustych gestów, pobrzękiwanie szabelką i jałowy patos awanturniczej mocarstwowości przenoszą spokojną wolną pracę przy swoich warsztatów. Marzy się tym nieszczęśliwym ludziom wyzwolenie spod jarzma Gestapo, spod pałek Schutzmannów, spod bata sturmabteilungów, spod opieki szpiclów i prowokatorów. Śni się im przyjaźń i komitywa z tymi właśnie narodami, które dzisiaj są przez hitleryzm mieszane z błotem i obrzucane kamieniami. Są jeszcze dzisiaj tacy utopijni Niemcy. Jest ich wiele. Bardzo wiele! Ukryci w zakamarkach, w podziemiach, w zaułkach, w więzieniach i obozach koncentracyjnych pracują każdy na swym posterunku, wytrwale i dzielnie, nad przybliżeniem dnia ostatecznej rozgrywki. 200.000 politycznych więźniów zaciska zęby i pięści i czeka. 225,000 skazanych za przestępstwa polityczne zaciska zęby i pięści i czeka. 15.000.000 ongi zorganizowanych robotników zaciska zęby, linotypy i maszyny drukarskie, nocami miliony ulotek padają na śpiące ulice, nielegalne drukarnie wyrzucają codziennie tysiące broszur o doskonale zamaskowanych tytułach, czyjeś ręce zarzucają nagle na przewody tramwajowe transparenty antyhitlerowskie, czyjeś ręce wypisują na parkanach hasła wolnościowe, raz po raz wybuchają strajki gniecione krwawo w wielkiej tajemnicy. Jeden z robotników A. E. G. z Berlina w tych słowach maluje ciężką konspiracyjną pracę:

„Nasza ostatnia ulotka ukazała się w formacie 10x20 cm. Sporządziliśmy ją następująco: naprzód ułożyliśmy hasła i wycięliśmy je z linoleum, potem pasma linoleum przytwierdziliśmy do suszki i tak drukowaliśmy sztuka po sztuce. W nocy część ulotek rozkleiliśmy na bramach fabryk. Koledzy, którzy po prostu łaknęli wszelkiego materiału oświecającego przybywszy z rana do pracy, z entuzjazmem przyjęli ulotki i każda z nich przeszła przez dziesiątki rąk".

A oto niezwykle ciekawy raport drukowany w wiedeńskiej „Reichspost", w którym o prasie podziemnej czytamy:

„Czerwony Sztandar" ukazywał się początkowo nielegalnie w drukowanym wydaniu. Nakład wynosił 300.000 egzemplarzy, później odbijano liczne wydania dodatkowe. Tajne drukarnie, już poprzednio przygotowane do tych celów, powielacze i maszyny do pisania rozpoczęły pracę. W większości miast znów kolportowano gazetki lokalne, fabryczne. Setki, tysiące ulotek wędrowały po fabrykach i urzędach pośrednictwa pracy z rąk do rąk".

Tak pracują ci ludzie, wielcy w swej ofiarności, niezłomni w bezgranicznym poświęceniu, awangarda walczącej ludzkości, czołowy patrol cierpiących tłumów, wspaniali bojowcy, dumni i waleczni.

...ich egzystencja — pisze „Manchester Guardian" — jest pełna największego niebezpieczeństwa, nerwowego napięcia i największej nędzy. Postawili sobie za zadanie stworzyć ośrodki walki i oporu na ów dzień, kiedy ogólne niezadowolenie w Niemczech przybierze formy polityczne. — O wiele groźniejszym aniżeli w okopach podczas wojny jest być członkiem opozycji. Straty są bardzo wielkie. — Gestapo prześladuje okrótnie opozycję polityczną".

Prześladowani i tropieni i chwytani idą do koncentracyjnych obozów na powolną śmierć, na mękę i głód — nowi towarzysze zajmują ich miejsca w podziemniach i dalej pracują i kontynuują niebezpieczną pracę i alarmują Europę wielkim głosem, słowami przepojonymi szlachetnym dostojeństwem. Czytamy ich apel w wstrząsającej książce antyhitlerowskiej p. t. „Naród niemiecki oskarża":

...niechaj ludzkość usłyszy oskarżenie narodu niemieckiego! Niechaj wspomoże przez wywalczenie amnestii dla żołnierzy pokoju, którzy cierpią w twierdzach i obozach koncentracyjnych, uwolnić ich z łańcuchów niewoli. Pomoc dla walki podziemnej jest pomocą dla pokoju. Im bardziej rozwija się ruchpokojowy, jaki prowadzą podziemni bohaterowie w Niemczech, tem trudniej przyjdą Niemcom przygotowania wojenne. Armia czynnych żołnierzy pokoju w Niemczech idzie już w setki tysięcy. Przez skuteczne poparcie wszystkich przyjaciół pokoju na świecie będzie się mogła rozrość w armię milionową. Regime nazistyczny oznacza wojnę, podziemne Niemcy — pokój. Kto jest za pokojem powinien być za podziemnymi Niemcami".

A w chwilach, gdy w wolnych podziemiach rodzi się sen nocy niemieckiej, gdy znużone, anielskie ręce wala rytmicznie w klawiaturę linotypów, lub obracają korbami hektografu, gdy pod osłoną gęstej nocy dzielni kolporterzy zarzucają miasto chmarą odezw, gdy realizują się powoli precyzyjnie obmyślane plany w Hamburgu na przedstawieniu „Don Carlosa" Schillera, tłum w spontanicznym i szalonym odruchu oklaskuje markiza Pose wołającego ze sceny wielkim głosem: „Królu daj nam wolność myśli!" Wyje tłum, brawa jak grad sypią się na głowy osłupiałych aktorów, jak płonący ołów padają na głowy dygnitarzy, celują jak salwa karabinowa w serca tyranów. A dnia następnego cenzor nerwowym ruchem dłoni, uzbrojonej w czerwony ołówek, skreśla z schillerowskiego tekstu owe rewolucyjne słowa, które godzą w prestiż hitlerowskiego państwa.

Zdoła wyrzucić gorliwy cenzor buntownicze zdania z schilerowskiego dramatu. Nigdy jednak nie potrafi przekreślić bólu ludzkiego, ani krzywdy wielkiej, ani snu nocy niemieckiej, ani podziemnego trudu tych ludzi, którzy dnia pewnego wyjdą na światło dzienne, na ulice, na place, na skwery, na bulwary — ze zwycięskim szczękiem karabinowych salw. Powstaniesz wolna Germanio!

STER jest organem żydow. myśli demokratycznej
STER jest tygodnikiem inteligencji żydowskiej
Czytajcie i rozpowszechniajcie
STER

Roman Brandstaetter

HAMLET I OFELJA NA WSI

W Elsynorze jest pusto. Do połowy masztu
Pogaszone sztandary. W różach taras płaski.
Krople wosku na kirze: złoty kurz nad miastem.
Dudnią pod moim krokiem kamienne posadzki.
Twarz wilgotna od płaczu. Zmięte fałdy nocy
Do stóp moich ściekają zniszczone i czarne.
Litościwy balwierzu! Spłyń na moje włosy:
Na zgrzybiałych ugorach osiwiałe wiatry.
Kometę ścisnął w palcach; już brzytwę obnażył.
I kraje światło, które na me oczy pryska,
Potem ostrze pobożnie przykłada do twarzy
Anioł pędzla i piany, balwierski ministrant.
Klęka smukły młodzieniec gotycką modlitwą
Pomiędzy smugą pudru i lustra jeziorem,
Wezbranem świeżem srebrem. Ponad chustą sztywną
Głowa jak smuga cienia podcięta wieczorem.
Tutaj ległem i czuwam zielony topielec
Szuwarem bujnej grozy gęsto zarośnięty.
Czyż nagle na dnie stawu ujrzałem Ofelję

I ścieżkę zamyśloną? Ścieżka biegnie tędy.
W wartkich wiosłach pęd wody narasta i czyha,
Wichura jak zaklęta szklanym fletem kobra
Prostopadle się pręży i dźwięki odmyka.
Moja szpado książęca! O szpado! U siodła
Żarzy się błyskawica, elektryczny język,
A grom, krzyczący rekin, trze o błękit grzbietem,
Tobie szpado te lata i w wierszach poety
Czaszkę pełną trucizny. Ciężkie łzy na rzęsy
Spływają, znów samotność, znów pustka oklasków,
Wykrzesana z rąk chłodnych, znów wino z amfory
Spływa wśród brzęku biesiad na zastawne stoły.
Przygotujcie karetę. Przyszedł czas odjazdu.

Brony o startych ostrzach jak dziady bezzębne
U szczelnych bram czuwają, sława w mroku tonie
W tę noc porysowaną werblem czarnych bębnów,
Podkowami w nie walą rozszalałe konie,
Jego książęca mości! Pod sierpniowe niebo
Psy wyją na dziedzińcu, gryząc lęk kościsty,
O głazy sierść czochrają, a zmarszczone pyski
Wznoszą w górę, kosmate, opryskane gniewem.
Biegnę przez korytarze, natrętne kotary
Owijają me stopy: szelest nietoperzy
Bijący o kolumny. Mijam chłód omszały
Altan, potem ogniska pijanych żołnierzy,
Grających w kości. Boże! Ta męcząca gorycz,
Gdy w łukach twoich ramion, ta samotność modra
Stawów gładzonych ręką, w której szorstkość kory,
Ta rozpacz w pław płynąca. Pisz, o ręko mądra,
Krwią z maków uczerpaną na śmiertelnej ścianie
Te słowa: Być lub nie być to dziwne pytanie!
Ofeljo! W twojej twarzy i w alejach pustych
Krajobraz białych lilij otwarty na ścieżaj;
Nad wspomnieniem tem wiszę jak galop u uzdy
Piersią w ciemność zarytą. Ty w tę pierś uderzaj
Podniesioną do ciosu ostrogą ciemności,
Która w strzępy drze poły twej znużonej sławy —
Przeklnij nabiegłe wodą, przymrużony stawy
I ślady kopyt w trawie: pól zziajanych pościg!

POEMAT

Dudni, dudni kareta. Wzgórze, sztangret siwy
Nieba, sennie potrząsa lejcami czarnemi,
W dole strzechy zacięte i zrośnięte skiby
Zagonów, brwi krzaczaste zamyślonej ziemi.

Miła! Witam cię wonią lipy, wsi i konia,
Powoje twych warkoczów na schylonych skroniach,
Łamię nad twojem czołem me ręce jak wieniec
Uwity z polnych kwiatów. Sucha noc się sypie
Przez drabiniaste wozy; z nad podróżnej ziemi
Podnoszę cię ku sobie. Ciepłą bielą kipi
Łabędź, wytchnienie stawu, i kona jak w pieśni
Cezura, którą rylec mistrza srebrem okuł.
Łodzie dziobiące wodę: nasze sny drapieżne
Prujące nurt pościeli aż po brzegi mroku.

Wówczas w śniadym ogrodzie szczęśliwe gałęzie
Nawisły jak pająki, wówczas w koleinach
Wieś błotem opryskana, wówczas noc opina
Szczelnie ziemię, jak skóra twe znużone mięśnie.
W ogniskach swąd tlejący, wichry zardzewiałe
Tkwiące jak źrącym jadem ochlapane noże
Pod przejrzystą tuniką. Nad dojrzałem ciałem
Nagle ręce zamykam jak sierp ponad zbożem.
Stroma noc się obsuwa: góra pochylona
Nad klęczącemi snami. Dzwoni mgła z nad łęgów,
Racicami tratując ciszę widnokręgu;
Świt spragniony ssie obór spęczniałe wymiona,
Świt ciężką skargę obór westchnieniem ugłaskał,
Świt, biały bulgot mleka w zdyszanej gardzieli.
Wrzask koguta już zdmuchnął szkło nocy. Wygasła
Zorza, stopą zduszony czarny czad popielisk,
Ponad sadem, kobietą po nagie kolana
Zanurzoną w poranku. Kona pięść miesiąca
Tłukąc po czołach wołów, które w mierzwie siana,
Obłe łodzie mięsiwa, w bezwładzie trwające.
Godziny z drzew zwisają: fioletowe śliwy.
Biały habit południa szorstki i rozgrzany
Na piszczałki opłotków — grające organy
Gęsi, kaczek, indyków, które chyląc dzioby
Kłują opiłki skwaru; żółte żłopią wieprze
W gnojówkach, połykając chciwie brudny upał —
Zbyt ciężkie krzaki godzin sadownik podeprze,
Lśni miąższ, jakby sadownik łupinę obłupał.
Dymiący chrust cierpienia, wiem że to ostatnie
Wspomnienie jest o tobie, krzyk bekasów w młakach
Alarmem pożegnania tnie zwierciadło płaskie.
Drogi długie, grudziaste rozgłośnie wołają
Wykrzyknikami topol w pól stygnącą przestrzeń,
I odchodzą, i giną, w pudermantlu białym
Szarym kurzem okrytym, drogo, mijasz wieś tę,
A ja z tobą. O, żegnaj i smutków poniechaj!
Żegnaj, między zębami zły poranek zgrzyta
Zmącony twoim ciałem. W kruchem czółnie echa
Wpłyń w wiejskie gospodarstwo — zazdrosny hoplito!

Dudni, dudni kareta. Wzgórze, sztangret siwy
Nieba, sennie potrząsa lejcami czarnemi,
W dole strzechy zacięte i zrośnięte skiby
Zagonów, brwi krzaczaste zamyślonej ziemi.

Rzeka lepkiej czerwieni przecieka przez drzewa:
Łuna, skalp okrwawiony, zdarty z głowy nieba.
Żaby trwożnie kumkają. Cień w paprociach grzęźnie,
Cień twój jak klucz dzwoniący, klucz od brzegów stawu,
Cień twój, zakonnik ciszy, leśnej celi więzień,
Cień, najmilszy brat ciała pochowany w trawie.
Żmija, jamb centkowany, wije się i syczy,
Brzozy w czarnych ornatach, wieniec z dymnej woni
Dopalonych kadzieł. Dźwigasz na obliczu
Anioła. Noc jak laskę wypuszczasz z twej dłoni
O wiatr stopą oparta jak ściętą kolumnę;
Spowita w żeński wawrzyn: w warkoczów oploty,
W staw wstępujesz, w toń kłączów, w rdzą pokrytą trumnę,
Ślubne krążą pierścienie po powierzchni wody.
Słowik trylem złorzecząc wysokiemu światu,
Złotem żądłem księżyca kłuje stopy sadów.

Rybak nocy nad brzegiem czyham widnokręgu,
Łowiąc twój cień dziewczęcy, o rycerska burzo,
Spocznij na moich pięściach niby na dwóch księgach
Sprężonemi grzbietami wzniesionych ku górze.
Czytaj z twardych mych dłoni w twój krzyk oprawionych,
W twój krzyk, popiersie bólu, kute w gładkiej miedzi —
Stu nurków łyska w wodzie i trzeszczą pontony,
Stu ludzi ciągnie z trudem puste, mokre sieci.
Któż w płaszcz dni otulony zmierzch z rankiem powiąże?
Któż parny cień obetrze ze skroni żołnierzy?
Ciało jak pocałunek na dnie stawu leży,
Warty się niecierpliwią i milczą, o książę!
Świec kopcące łodygi, herby w kir spowite,
Na dziedzińcu dzień dumny jak rumak w uprzęży,
Bije twardym kopytem w granitowe płyty
I wydzwania twe imię, rżąc żałobnie, książę!

Młodości, grusz kolczyki, kłosiany rumieniec,
Młodości, widmo tęczy, łowczyni pożarów,
Argonauci dziedzińców, kurników i sieni —
Kundle, obgryzające zjełczałą kość skwaru,
Leżą teraz zmęczone na łańcuchu ciszy;
Ty je mijasz jak struny zamglony cień smyczka,
Ty je mijasz, jak zboże w biodrach się kołyszesz,
Zamyślona, ostatnia, chmura i tragiczna.
Młodości, ślad dotkliwy, doświadczenia szosa
Jak płacz płynie przed siebie. Wiem już, że w zielonych
Sandałach szorstkich borów kroczą stopy bose
Męczeńskich dni i nocy. W krytych wiechciem słomy
Stajniach, zmierzch jak koniokrad łby końskie obchodzi,
Gotując czas odjazdu. Wołające usta
Ił goryczy zamula, w której młodość brodzi,
Niema, melancholijna i gorzka i pusta.
I znów nastanie wiosną. Wtedy skiby ryże,
Wtedy gwiazdy, krów poryk, wtedy sypki obrok,
Zmierzch wprzągnięty do wozu: biały wół o lirze
Rozwidlonej ku niebu. Ciągnie się widnokrąg
Za pługiem wżartym w skibę: jak chłop ciężko sapie,
Chudy, senny i siny. Wtedy więc podążysz
Nad płaskie brzegi stawu i odnajdziesz w trawie
Białe ciało Ofelji i zapłaczesz, książe!

Słyszysz? Już wieś usnęła. Tylko w mroku siwym
Świerszcz czyści o pogodę swój syk przenikliwy.

A. Awerczenko

Sprawy miłosne Filimona Busykina

Pozwolicie państwo, że przedstawię wam Filimona Busykina, kupca en gros branży skórzanej. Jego krępy i tłusty korpus spoczywa na dwóch cieniutkich nóżkach, tworzących pospołu oryginalne „O". Ramiona pana Filimona są krótkie, dłonie szerokie i czerwone, uszy zwisają za przeproszeniem jak u osła, a drobne oczki znikają całkowicie w tłustej twarzy.

Byłem niezmiernie zdziwiony, gdy pewnej niedzieli zjawił się u mnie pan Filimon Busykin. Miał na sobie odświętne ubranie, a jaskrawy krawat zdobił jego wykrochmaloną koszulę. Wyglądał tak przedsiębiorczo, że nawet podobał mi się.

— Pan, panie Busykin? — Jaki wytworny! Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?... — Widzi pan — wykrztusił — pan lepiej orientuje się w tych sprawach... I dlatego właśnie przyszedłem do pana.

— W jakich sprawach?

— No, w sprawie tych afer?

Zbliżył się do mnie i tłustym swoim paluchem połaskotał mnie w podbródek.

— Czego pan chce? — spytałem niespokojnie. Uśmiechnął się obłudnie i odrzekł.

— Widzi pan... ja wiem, że pan dobrze zna się na tych sprawach.

— Ale na jakich?

— Na miłosnych. Muszę panu przyznać się, że dotychczas nie zajmowałem się tymi sprawami. Miałem dotąd w głowie jedynie interesy. Ale serce! Ono także domaga się swych praw. I dlatego chciałbym trochę poflirtować z kobietkami. — Zachwycające zajęcie — zauważyłem.

— Rzeczywiście? Ja nie wiem... Nie mam pojęcia jak się podchodzi do kobiety... Zdaje mi się, że wystarczy mrugnąć a zaraz poleci za mężczyzną...

— Tak to najprostszy sposób zdobywania kobiety.

— Ale powiadają przecież, że bywają też moralne kobiety.

— Bzdury. Wszystkie kobiety są moralne aż do pierwszego pocałunku.

— Wszystkie? Nawet inteligentne?

— Wszystkie!

— Co też pan mówi? Jak je się zdobywa?

— Mój Boże to takie proste. Jeśli podoba się panu jakaś kobieta to łapiesz ją pan za rękę, potem obejmij ją pan w pasie, pocałuj kilka razy i gotowe! Jak dojrzały owoc wpadnie w pańskie ramiona.

— I ja... ja też tak mogę...

— Naturalnie... Jest pan przecież młody i przystojny.

— Tak. Mam jeszcze panie wszystkie zęby. Na ulicy wszyscy mnie z podziwem obserwują.

— Nic dziwnego. Więc upatrzył pan już sobie jakąś damę?

— A jakże... Małżonkę mecenasa Miatlewa.

— Znam ją. I pochwalam pański gust. Piękna kobieta.

— Właśnie, ja jestem bardzo przedsiębiorczy. Chodźmy do parku. Ona codziennie tam się przechadza.

— — — — — — —

Siedzieliśmy w parku na ławce i spoglądaliśmy na dzieci, bawiące się w piasku.

— O, o idzie! — zawołał nagle Busykin. Aleją szła wytworna, przystojna dama. Szła — zamyślona.

— Ona z pewnością myśli o miłosnej przygodzie — szepnął podenerwowany Busykin.

— Kobiety zawsze myślą o miłosnych przygodach — odrzekłem — Naprzód Busykinie! Do ataku! Kuj żelazo póki gorące!

Busykin poprawił krawat i pobiegł za wybranką swego serca.

Po kilku minutach powrócił.

— Panie! Ona bije! Ująłem ją za rękę, a ona uderzyła mnie w policzek! Ale jak silnie!

— Tu coś jest nie w porządku. Jak pan z nią postąpił?

— Tak jak pan radził: zaszedłem od tyłu, wziąłem ją za rękę i powiedziałem: „chodźmy". Lecz ona nawet nie spytała dokąd, lecz natychmiast spoliczkowała mnie:

— To nic. Nich się pan nie przejmuje! Kobiety są sadystkami. Lubią bić i całować! Czy ona przyszła do parku pieszo?

— Nie, auto na nią czeka.

— No, to sprawa jest bardzo łatwa. Ukryj się pan w aucie, a gdy ona tam wejdzie, zacznij ją pan zdobywać. Kobiety bardzo lubią w aucie...

Busykin usłuchał mojej rady. Udało mu się wślizgnąć do limuzyny.

Po pięciu minutach pani Miatlewa wróciła ze spaceru, a w 30 sekund potem pan Filimon Busykin wyleciał na bruk.

Gdy auto odjechało zbliżyłem się do Filimona i rzekłem:

— Winszuję sukcesu!

— Jakto? Wyrzuciła mnie przecież...

— Bo nie zasunął pan rolet. Czy sądzi pan, że zamężna kobieta będzie się kompromitować? Ale ma pan szczęście!..

— Ja?! — krzyknął i spojrzał na mnie bezmyślnym wzrokiem.

— A jakże: Czy nie słyszał pan, jak Miatlewa, powiedziała do szofera: „Szkoda, że mego męża nie ma w domu..." Dała panu w ten sposób do zrozumienia, że będzie w domu sama...

— Wal pan, szczęśliwy człowieku do jej mieszkania... Za kilka minut będzie pan najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Busykin usłuchał mojej rady. Ukryłem się za węgłem domu, w którym mieszka pani Miatlewa i czekałem na powrót zakochanego Busykina. Wrócił w sposób dość nieoczekiwany. Najpierw wyleciała laska potem filcowy melonik, wreszcie sam Busykin.

Wyszedłem z ukrycia i rzekłem:

— Gratuluję odniósł pan znowu sukces.

— Tak, — odparł niepewnie — należy tylko być tak przedsiębiorczym i odważnym jak ja...

— A całował ją pan?

— Tak... cztery razy...

— No i...

— Ona dziś nie miała czasu. Kazała mi przyjść kiedy indziej.

Po chwili dodał gorzko:

Z kobietami trzeba tak się obchodzić, jak pan to powiedział. Mrugnąć i koniec. Z początku udają moralne, ale w domu rzucają moralność do diabła. Wszystko jedno zamężna czy nie, inteligentna czy nie: wszystkie są jednakowe.

— A więc kiedy pan pójdzie do niej po raz drugi? — spytałem.

Filimon Busykin spojrzał na mnie podejrzliwym wzrokiem, podniósł melonik, laskę i odrzekł gniewnie:

— Zapewnie... jutro...

Wanda Kragen

Poeta, który pisze prozą

W arcybogatej, współczesnej literaturze światowej pisarz francuski, Jean Giono jest fenomenem zupełnie odrębnym i nie mającym związku z żadnym ze znanych kierunków i prądów. Giono, twórca kilkunastu powieści, nad którymi góruje wspaniała „Pieśń świata", stoi z dala i całkiem na uboczu od wydeptanych szlaków, po których zwykła wędrować literatura dni dzisiejszych. Napięta boleśnie struna problemów społeczno-gospodarczych, paradoksalna aż do obłędu rzeczywistość powojenna, walka dwóch przeciwstawnych sobie ideologii, co raz szerszą torującą sobie drogę nie tylko do artykułów i publicystyki, ale także do literatury pięknej — te sprawy zdają się w ogóle nie istnieć dla wielkiego poety Giona. Świat jawi mu się w widzialnych zarysach, w fata-morganicznych obrazach, wykwitających z życiowej prawdy, lecz oderwanych od podłoża i optycznych na samym pograniczu realizmu i fantazji.

Nazwałem Giona poetą. To bowiem, że pisze on prozą, nie stanowi wcale o tym, iż jest prozaikiem. Istotą poezji nie jest bynajmniej rym i rytm, nie jest w ogóle forma. Istotą najrdzenniejszą poezji jest samo podejście i dotarcie do widzialnego świata, oraz odzwierciedlenie go w pewien szczególny sposób, dzięki któremu czytelnik ma wrażenie, iż poza rzeczywistością dostrzegalną i prawdziwą tai się coś jeszcze, jakaś metafizyczna prawda, jakieś odwieczne niedosiężne trwanie.

Proza — mówię tu jedynie o prawdziwej, dobrej prozie i poezji — obraca się w kręgu faktów i z nich wysnuwa wnioski, zależnie od twórczego potencjału pisarza mniej lub więcej rozgałęzione i płodne. Jest zawsze faktomontażem o określonych przyczynach i skutkach, jest, dziś zwłaszcza, z lekka tylko przełamanym odbiciem rzeczywistości. Poezja wdziera się poza łańcuch przyczyn i skutków, przełamuje prostolinijność faktów, by poza ich zasłoną, w szumiącym głucho jak muszla prabycie szukać najgłębszej istoty i zrozumienia codziennych zjawisk, pochwycić ich duszę i sens. Poetą jest ten tylko, komu się to udaje — bez względu na to, o czym pisze. I dlatego poetą jest Jean Giono, chociaż pisze prozą.

Giono posiada niespotykaną zazwyczaj u prozatorów zdolność plastycznego i barwnego przekształcania widzialności, urabiania jej na coś zgoła odmiennego, co istnieje samo przez się i niewiele ma cech wspólnych ze światem rzeczywistym. Mówi we własnym jedynie imieniu, a raczej w imieniu niemego, bezmownego świata: świata rzeczy, który w jego książkach budzi się i ożywa. Jego powieści nie są książkami wyłącznie i jedynie o człowieku. Śpiewa w nich cała zaczarowana dusza świata. W olbrzymiej domenie powieści, która niemal wyłącznie zajmuje się człowiekiem i jego losem, książki tego pisarza już choćby z tej przyczyny są zjawiskiem wyjątkowym i na giełdzie literackiej nienotowanym. Śmiało rzec można, że żaden z prozaików nie dotarł w ten sposób do dna bytu przedmiotów martwych, żaden nie ukazał nam w ten sposób zwykłych scen życia, które mimo powszedniości mają w sobie coś z biblijnych obrządków i namaszczenia. Lasy, drzewa, kamienie i rzeki żyją na jego kartach jakimś życiem intensywnym i zdwojonym, życiem roślinnym, i minerainym, wegetatywną stroną istnienia. Ludzie są jedynie dalszym ciągiem, przedłużeniem natury, nie przestępują nigdy jej kręgu, nie wyłamują się z niego, ogniskują w sobie raczej jej światła i dzięki temu są tak samo niespożyci i mocni, jak ona. Umiejscowieni są tam, gdzie naprawdę przynależą: pomiędzy niebem i ziemią. Swego czasu podobne miejsce dał ludziom Knut Hamsun w swym przepięknym „Błogosławieństwie ziemi". Lecz Giono poszedł znacznie dalej w artystycznej hierarchizacji i swoistym panmistycyzmie.

Książki Giona są pozaczasowe w najlepszym tego słowa znaczeniu; akcja ich może się odbywać równie dobrze w teraźniejszości, jak sto lub pięćset lat temu, albo też za lat pięćset. Wydarzenia rzutowane są gdzieś na południu Francji, do podnóża Pirenejów, na tło pastwisk, pełnych byków i zielonych rozległych ferm. Lecz kraina i ludzie, opisane przez autora, są raczej mitem — mitem o bytowaniu człowieka w przyrodzie. Kośćcem i dramatyczną osią jego książek jest nagie istnienie, życie zmysłów napięte i wytężone. Ludzie wyjęci są z chwili doraźnej, to, co mówią i czynią, jest nieprzemijające i wieczne jak natura. Rzeczy i sprawy, opisane przez Giona, są niezmienne, niepodległe wahaniom, od praczasów jednako przebiegające i ważne, czy to będzie lot motyla, czy kiełkowanie młodej siejby na polach, zaoranych twardą ręką człowieka, czy pożądanie i zew miłosny.

Wynika z tego, że treść jego powieści jest nieważna, podobnie, jak w poezji. Może to być treść najbłahsza: wędrówka dwóch ludzi w górę rzeki, w poszukiwaniu trzeciego, jak w „Pieśni świata", albo ślepe, żywiołowe szukanie się mężczyzny i kobiety, rozbudzonych wiosną, ich odnalezienie się i zespolenie, jak w „Otawii". Mogą to być nawet, jak w „Wielkiej trzodzie", sceny z czasu wojny. Ale ta wojna jst daleko, na odległym planie, ta wojna jest przetransponowana w tęsknotę kobiet samotnych i opuszczonych, rwących się ku odeszłym kochankom, by dopełnić praw niezniszczalnej natury.

Nad powieściami Giona śnimy z otwartymi oczyma. Wyłaniają się przed nami krajobrazy pozornie prawdziwe i istniejące, a jednak odległe, obce, inno-barwne. W naszych oczach proza zamienia się w poezję, jawa nasiąka pozaziemskością, staje się niejako odbiciem idealnych prabytów. Realność zdarzeń, więc wszystko, co dzieje się i żyje w tych książkach, okolona jest drgającą, świetlistą polewą, w której niby w bursztynie zastyga rzeczywistość. I podobnie, jak mucha czy inne żyjątko, odcięte od otoczenia i uwięzione na zawsze w sztywnej, złocistej otoczce, odrealnia się jak gdyby i przybiera fantastyczny wygląd, ludzie i natura u Giona dzięki niezwykłemu nasileniu światła, jakie wibruje dokoła nich, tracą cechy rzeczywiste i — nie przestając być sobą — stają się równocześnie nieznanymi nam dotąd dziwotworami, odkrytymi przez pisarza.

Jakim sposobem, jaką metodą Giono dochodzi do tych zdumiewających rezultatów? Jedynie słowem. Słowo, zespół i muzyka słów czynią z jego książek te arcydzieła, jakimi są. Mało kiedy w literaturze beletrystycznej mamy sposobność podpatrzenia tak dotykalnie, że jedynie i wyłącznie słowa, ich dobór, koloryt i dźwięk tworzą istotną treść książki. Te same fakty i zdarzenia, ci sami ludzie i ten sam krajobraz, opisani innymi słowy, bardziej zwyczajnymi i używalnymi, dałyby sceny niemal banalne. W jego powieściach natomiast, pachnących gwiazdami, wodą i powietrzem, wszystko zwyczajne, cała codzienność urasta do hieratycznych rozmiarów przeżyć jednorazowych i niepowtarzalnych, a sceny takie, jak poród ślepej w lesie, bójka z pastuchami byków, podpalenie fermy w „Pieśni świata", żarzą się płomieniem skondensowanej, najczystszej poezji.

Z książek Giona ukazało się dotąd kilka w języku polskim, nakł. „Renaissance'u"; w przkładzie M. Tarnowskiego. Przekłady są na ogół rzetelne i inteligentne, lecz nie wydobyły całej słownej poetyczności dzieł Giona. Taką „Pieśń świata" naprzykład powinien przełożyć Leśmian lub Tuwim, dać przekład współtwórczy, z zachowaniem niesłychanego bogactwa i nowotworów językowych. Dopiero wówczas piękno tej książki ujawniłoby się czytelnikowi w całej olśniewającej krasie.

A. Ben - Zew

Z literatury syjonistycznej

Ch. Arlozorow: Szklany mur. Wybór pism t. I. Z przedmową d-ra A. Tartakowera. Z hebrajskiego przełożyli M. Lusternik i I. Trief. Spółka Wydawnicza „Kedem" 1936. Str. 102.

Pierwszy tom zbiorowego wydania dzieł **Chaima Arlozorowa** w języku polskim obejmuje cztery publicystyczne rozprawy napisane w latach 1925—1930. Aczkolwiek prace te wyszły spod pióra teoretyka i późniejszego kierownika syjonistycznej polityki „zewnętrznej" na tle pewnych, wtedy aktualnych wydarzeń — to jednak głębia podejścia do kardynalnego zagadnienia naszych stosunków z Anglią i z Arabami sprawiła ,że po dzień dzisiejszy pisma Arlozorowa zachowały charakter **klasycznego podręcznika polityki palestyńskiej narodu żydowskiego.** Albowiem Chaim Arlozorow stworzył dla naszego ruchu systemat polityki syjonistycznej, który obowiązuje obecnie i przez długie zapewne lata będzie obowiązywać naszą oficjalną politykę. Jego ideowe założenia, polityczne koncepcje i taktyczne zalecenia nabierają szczególnej doniosłości na tle współczesnej fazy walki o żydowską Palestynę.

Dlatego z uznaniem należy powitać inicjatywę wydawnictwa **„Kedem"**, że właśnie obecnie przystąpiło do wydania dzieł Arlozorowa w języku polskim; tym więcej, że przekład z hebrajskiego jest staranny i dobry, przedmowa dra Tartakowera — napisana syntetycznie ,a zarazem żywo, przypisy — rzeczowe i jasne, a szata zewnętrzna świadczy o staranności wydawców.

*

Autor przedmowy tak oto charakteryzuje postać Arlozorowa: „Była to jedna z najbardziej wszechstronnych osobistości, jakie społeczeństwo żydowskie wydało w ostatnich lat dziesiątkach. Poeta i polityk, człowiek wiedzy i parlamentarzysta, teoretyk finansowy i przywódca ruchu robotniczego, socjolog i organizator mas, literat i trybun ludu..." Przy całej tej uniwersalności zainteresowań i talentów Arlozorow był „przede wszystkim **politykiem,** politykiem z Bożej łaski, w najgłębszym i najistotniejszym słowa tego znaczeniu". Ale nie jest rzeczą wyjątkową być politykiem czy nawet mężem stanu w okresie, gdy funkcje te nieraz zbytnio spopularyzowały się, spowszechniały i uległy ideowej dewaluacji. Momentem decydującym na tle współczesnego okresu politycznej demoralizacji jest: w jaki sposób politykę się rozumie? Na pytanie to dr. Tartakower udziela nam wymownej odpowiedzi: „Starogreckie, bliskie jednak duchowi żydowskiemu pojęcie polityki, jako sztuki zgodnego współżycia ludzi i narodów, które zatarło się zupełnie z biegiem czasu i zatonęło w morzu krwi i nienawiści, odżyło znowu w pismach Arlozorowa i w jego politycznej działalności."

Kto dobrze zna dzieje przedcześnie przerwanej działalności politycznej Arlozorowa, przyzna, że w słowach tych nie ma nic z przesady.

*

Ale poznajmy poglądy zabitego przed trzema laty Sternika nawy naszej polityki palestyńskiej — o tyle, o ile znalazły one fragmentaryczny dotąd wyraz w pierwszym tomie dzieł Jego. Dla czytelników „Steru" jest to może koniecznością wewnętrzną po zapoznaniu się w poprzednim numerze z szkodliwymi poglądami p. Żabotyńskiego (patrz: artykuł L. Halperna: „Co dobre — nie jest nowe, co nowe — nie jest dobre", Nr. 14 „Steru".)

W artykule krytykującym pierwsze sprawozdanie palestyńskie Komisji Mandatowej L. N., wydane w r. 1925, Arlozorow rozwija całokształt zagadnienia art. 22 statutu Ligi Narodów, Mandatu palestyńskiego oraz jego przepisów o Żydowskiej Siedzibie Narodowej. Wnet jednak sięga do jądra trudności zewnętrznych syjonizmu, analizując ekonomiczne podłoże **kwestii arabskiej.** Stwierdza ,że najliczniejszą, bo liczącą 55 proc. warstwą arabską są fellachowie — chłopi, dzierżawiący grunty u wielkich obszarników - efendich. Za dzierżawę tę fellachowie oddają efendim 20—30 proc. zbiorów, obarczeni zaś podatkami, zadłużują się u arabskich lichwiarzy, liczących „15 za 10" co dochodzi do 60 proc. rocznie. Tak oto arabska mniejszość (obszarnicy, kler, inteligencja i urzędnicy) żyją kosztem eksploatowania fellachów.

Arlozorow zbija stanowczo zarzut, że fellachowie cośkolwiek stracili na kolonizacji żydowskiej: „Rezultat żydowskiej polityki agrarnej, w odniesieniu do fellachów, można pokrótce ująć w następujący sposób: — Podział gruntów skutkiem nabywania ziemi pod kolonizację żydowską pociąga za sobą koncentrowanie się fellachów na mniejszych działkach rolnych. W konsekwencji jednak uzyskuje fellach środki konieczne do uprawy mniejszej jednostki rolniczej według ulepszonych metod intensywnej gospodarki rolnej. Następuje więc z jednej strony modernizacja rolnictwa arabskiego i podniesienie stopy życiowej i poziomu kulturalnego mieszkańców, z drugiej zaś strony objęcie pozostałej nadwyżki nieuprawionej ziemi przez kolonizację żydowską." W przekonywujących wywodach popartych faktami i liczbami, Arlozorow wykazuje, że w płaszczyźnie socjalnej, ekonomicznej i kolonizacyjnej nie ma kolizji pomiędzy działalnością syjonizmu a rzeczywistymi interesami mas arabskich.

Ale Arlozorow ekonomista i teoretyk był zarazem politykiem i realistą. Dlatego na marginesie tych wywodów dodaje: „Socjologiczna analiza skomplikowanych zagadnień politycznych nie identyfikuje się — w każdym razie nie zawsze — z kalkulacjami, w myśl których polityk opracowuje konkretny plan swej działalności. Istnieje w kraju ruch polityczny, niewyrobiony wprawdzie i prymitywny, który zajmuje wrogie stanowisko wobec żydowskiego dzieła w Palestynie. Skoro zaś chcemy zrealizować nasze plany, tj. stworzyć Żydowską Siedzibę Narodową w Palestynie — musimy poważnie liczyć się z arabskim ruchem narodowym." Arlozorow był bodaj pierwszym wśród polityków syjonistycznych, który w całej pełni doceniał znaczenie zagadnienia arabskiego i umiał szukać skromnych, ale realnych środków jego stopniowego rozwiązania.

Realistyczną była także u Arlozorowa krytyka angielskiej administracji mandatowej. Cytowana przezeń wzmianka **„Near East & India Magazine"** — półoficjalnego organu ministerstwa kolonii — w doskonały sposób oświetla zagadnienie żydowsko-angielskich stosunków w Palestynie: „Arab palestyński łatwo zyskuje przyjaźń i sympatię Anglików, podczas gdy Żyd jest dla nich istotą mistyczną, niezrozumiałą i — kłopotliwą. Taka sama zresztą była opinia o nim urzędnika rzymskiego przed 1800 laty". Arlozorow rozróżnia 3 kategorie urzędników brytyjskich: 1) wysokich urzędników, sympatyzujących z nami, choć, oczywiście, nie składających deklaracji w stylu... członków syjonistycznego A. C., 2) wyższych urzędników sympatyzujących z Arabami i widzących w nich pewien wschodni romantyzm, 3) niższych urzędników, obojętnych zarówno wobec Żydów, jak i Arabów, chcących jak najłatwiej i jak najprościej załatwić się z obowiązkami służbowymi. A „policjant i listonosz kształtują oblicze i charakter administracji angielskiej w znacznie większej mierze, niż Wysoki Komisarz i Naczelny Prokurator".

Urzędnicy ci widzą w syjonizmie pewną komplikację i dlatego są mu niechętni, dlatego też czynią nam trudności. „W ten sposób tworzy się szklany mur, stromy i śliski. Po jego drugiej stronie rozciąga się jak na dłoni wyśniona kraina realizacji Mandatu. Przebić tego muru nie potrafimy, przesadzić go nad wyraz trudno".

Tu nie pomogą „radykalne" rezolucje i odgrażanie się — albowiem zagadnienie jest trudne i skomplikowane. Podstawą systemu politycznego Arlozorowa jest głębokie przekonanie, że „Współpraca żydowsko angielska w Palestynie nie jest ograniczona z góry pewną ilością lat, lub okresem jednego pokolenia. Mniemam, że współpraca ta jest natury zasadniczej." Tej podstawowej myśli winna być podporządkowana nasza polityczna taktyka.

Dlatego przestrzegał Arlozorow przed lekkomyślnymi improwizacjami politycznymi w rodzaju szukania pomocy przeciw Londynowi w Hadze, Genewie, czy gdziekolwiek indziej: „Wszelka myśl o pozwaniu Rządu Palestyńskiego przed Trybunał Międzynarodowy czy też odwołaniu się do interwencji Ligi Narodów w stosunki palestyńskie z góry skazana jest na niepowodzenie. W ten sposób bowiem mobilizuiemy czynnik trzeci przeciwko władzy mandatowej. A przecież na przeciąg długiego jeszcze czasu, w trakcie budowy Siedziby Narodowej, jesteśmy związani z W. Brytanią w znacznie większej mierze aniżeli z Genewą".

Do omówienia całokształtu systemu politycznego Chaima Arlozorowa wrócimy po ukazaniu się dalszych tomów Jego pism.

Książki dla młodzieży

„EMIL NAD MORZEM"

(Erik Kaestner: „Emil nad morzem". O Emilu i detektywach" opowieść druga. Powieść dla dzieci z ilustracjami W. Triera. Wolny przekład Hanny Lazerowej. Księgarnia Powszechna. Kraków 1937).

Któż nie zna Emila? W każdym domu, w którym jest młody czytelnik, znajduje się na pewno jedna przynajmniej książeczka Kaestnera, którą — wyznajmy odrazu — rodzice tak samo chętnie i łapczywie pożerają, jak ich dzieci. Od czasu przełożenia na język polski tych wyśmienitych powieści dla młodzieży odpadło generalne zmartwienie wszystkich tych, którzy kłopotali się bezradnie, jaką to książkę kupić na prezent dla dzieci. Wchodzisz teraz do księgarni z zamiarem kupienia na konfirmację prezentu i żądasz—wiadomo—od razu „Emila nad morzem" czy „Emila i detektywów" czy też „Kruszynki i Antosia".

W czym tkwi to zasłużone i tajemnicze powodzenie Kaestnera? Prawdopodobnie w zupełnym odkłamaniu rzeczywistości dziecięcej. Literatura dla młodzieży cierpi na chroniczny brak prawdziwego talentu, któryby potrafił przemówić prostymi i nieliterackimi środkami do tego osobliwego i wymagającego czytelnika, jakim jest niewątpliwie dziecko. Poza Korczakiem i Szelburg - Zarembiną brak w Polsce takich pisarzy, którzyby prawdziwie umieli nawiązać kontakt z publicznością dziecięcą. Żywiołowe i namiętne rozczytywanie się młodzieży w dziełach Kaestnera znalazło oddźwięk w lekturze oficjalnej poleconej przez M. W. R. i O. P., które wprowadziło do nauki języka niemieckiego w kl. III obowiązkową lekturę „Emila".

Polscy tłumacze dali wolną przeróbkę tych powieści, wychodząc ze słusznego zresztą założenia, że przeniesienie akcji do polskiego środowiska zbliży i ułatwi przeżycie polskiemu czytelnikowi. Dlatego „Emil i detektywi" w polskim przekładzie odbywa się w Krakowie, a akcja „Emila nad morzem" toczy się w Jastarni. Polszczenie nazwisk, miejscowości i całego tła udało się znakomicie autorom przekładów (Hannie Lazerowej i Dawidowi Lazerowi), którzy tak kongenialnie przełożyli Kaestnera, iż w porównaniu z oryginałem nic z pierwotnego wdzięku i uroku nie traci polska książka. Aby o tym się przekonać, warto skonfrontować przekłady z oryginałem, a wtedy łatwo będzie dojść do pocieszającego wniosku, że są jeszcze w Polsce świetni tłumacze.

S. R.

KRONIKA LITERACKA

KSIĘGA HEBRAJSKICH LITERATÓW W POLSCE.

Doroczne ogólne zebranie Zrzeszenia Literatów i Dziennikarzy Hebrajskich w Polsce wyłoniło Centralny Komitet w skład którego wchodzą pp.: Matytjohu Szohaw, Doc. Dr. J. Osterzetzer, Dr. R. Feldschu (Ben Szem), Doc. Dr. Goliger, J. A. Handelzalc, A. Frank i J. Warszawski. C. K. uchwalił wydać za pieniądze, które znajdują się w jego posiadaniu, księgę hebrajskich literatów w Polsce. Okólniki odpowiednie zostały już wysłane do wszystkich literatów. Wyłoniono też specjalną komisję redakcyjną. Jednocześnie tworzy się fundusz na założenie wydawnictwa hebrajskiego, które umożliwi hebrajskim literatom w Polsce wydawanie ich dzieł.

*

SONETY MIECZYSŁAWA BRAUNA.

Świetny poeta Mieczysław Braun wydał tom sonetów. Zbiór ukazał się nakładem F. Hoesicka. O tomie niebawem napiszemy.

BEZ LITERY „E".

Pewien pisarz amerykański nazwiskiem Wright po 10-letniej pracy napisał powieść w której nie spotyka się ani razu literę „e", należącą w języku angielskim właśnie do najczęstszych. Jak dotąd, pracowity dziwak nie znalazł wydawcy.

750-LECIE „SŁOWA O PUŁKU IGORA".

W bieżącym roku przypada 750-lecie poematu „Słowo o pułku Igora". Ten poemat nieznanego autora odkrył przypadkowo w r. 1795 Mussin-Puszkin, zbieracz dzieł Sztuki. „Słowo o pułku Igora" przełożył przed kilku laty na język polski — Julian Tuwim. Przekład ukazał się nakładem Biblioteki Narodowej ze wstępem prof. Al. Brücknera.

ZGON WIELKIEGO REŻYSERA ŻYDOWSKIEGO.

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 61 lat wybitny reżyser żydowski, Dawid Herman. Ocenie działalnośsi reżyserskiej Hermana poświęcimy specjalny artykuł.

REFERAT J. BLEIBERGA NA IX MIĘDZYNARODOWYM KONGRESIE FILOZOFICZNYM.

Komitet Organizacyjny IX Międzynarodowego Kongresu Filozoficznego w Paryzu, który odbędzie się w sierpniu bieżącego roku dla uczczenia 300-lecia ukazania się „Rozprawy o metodzie" Kartezjusza zakwalifikował do wygłoszenia i wydrukowania w urzędowej publikacji Zjazdu referat naszego cenionego współpracownika p. Jakuba Bleiberga, poświęcony zagadnieniu intuicjonizmu Spinozy.

Dr. Izrael Trief: Achad Haam. (Jego życie i nauka). Wydawnictwo Komendy Naczelnej Ż. O. S. „Hanoar Hacyjoni" w Polsce. Warszawa, 1937. Str. 54.

W dziesiątą rocznicę zgonu największego w naszych czasach żydowskiego filozofa narodowego i ideologa odrodzenia narodu żydowskiego — **Achad Haama** (Aszera Ginzburga) — organizacja młodzieży syjonistycznej wydała skromną broszurkę, poświęconą Jego życiu i nauce. Drobny ten stosunkowo fakt jest dla nas bardzo pocieszający: oto nauka Nauczyciela duchowego pierwszego pokolenia syjonistów dociera do najmłodszych szeregów żydowskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego, a ciągłość tej prawdziwej filozofii syjonizmu zostaje zachowana.

Prace filozoficzno-publicystyczne Achad-Haama tworzą rozgałęziony systemat, opierający się na założeniach naukowych, dzasadniony dialektyką filozoficzną, obejmujący elementy historiozoficzne i poświęcony życiu duchowemu narodu we wszystkich jego bogatych i różnorodnych przejawach. Ogarnięcie tego skomplikowanego i często niejednolitego systematu myślowego nie jest rzeczą łatwą. Rozpowszechnianie więc oryginalnych prac Achad-Haama wśród szerszych rzesz publiczności czytającej, a zwłaszcza wśród młodzieży — byłoby bardzo trudne. Powstaje więc konieczność opracowań o charakterze popularyzatorskim, które oczywiście nie zastąpią lektury oryginalnych prac Nauczyciela, ale mogą ją w dużym stopniu ułatwić i do niej czytelnika przygotować.

Takie właśnie zadanie przyświecało autorowi omawianej broszury, d-rowi **Izraelowi Triefowi.** Do tego trudnego zadania autor przystąpił z dużym zasobem dobrej woli i staranności. Poza krótką przedmową, broszura zawiera dwie części: „Życie Achad Haama" i „Achad Haam jako myśliciel". Część pierwsza ma charakter biograficzny, druga zaś poświęcona jest popularnemu wykładowi systemu Achad Haama.

Należy się spodziewać, że broszura dra Trieta przyczyni sie do popularyzacji nauk Twórcy syjonizmu duchowego wśród szerokich kół naszej młodzieży.

ANTENA ŚWIATA

Warjacje na tematy rewolucyjne

Prasa francuska dużo i chętnie pisze na temat, czy możliwa jest rewolucja we Francji, a jeśli tak, to w jakiej formie. Roztrząsa to zagadnienie spokojnie, po akademicku.

„Republique" konstantuje, że „część Europy odnosi się z pewną nieufnością do Francji, a to dlatego, że: primo, skończyła się rewolucja rosyjska; secundo, rozpoczęła się rewolucja francuska, a tertio, rządy europejskie, przeciwne komunizmowi, obawiają się, aby w Paryżu nie powstał ośrodek międzynarodowego ruchu, który oni nazywają neo-komunizmem".

W ten sposób lewicowa gazeta konstatuje, że rewolucja francuska już się rozpoczęła, ale w innej postaci aniżeli rosyjska.

„Leninowska rewolucja nie wyszła po za granice Rosji. W r. 1919 została ona zdławiona w Berlinie, a w r. 1920 poniosła klęskę militarną nad Wisłą. Sukces węgierski trwał zaledwie rok. Powstania hamburskie i wiedeńskie skończyły sią klęską. Wszędzie albo demokracja zwyciężała komunizm, albo ponosiła klęskę wspólnie z komunizmem, socjalizmem i parlamentarną demokracją. W okresie od września 1920 r. do początków roku 1936 — rewolucja bolszewicka gotowała się we własnym sosie, w granicach Rosji."

Sytuacja zmieniła się na początku 1936 roku, kiedy zaczęto wprowadzać w życie nową taktykę, propagowaną przez Dymitrowa w jego mowie, wygłoszonej na VII-ym Zjeździe Kominternu, w sierpniu 1935 roku. Ta taktyka nie tylko dała możność komunistom zajęcia odpowiedniego stanowiska w Hiszpanii (luty 36 r.) i we Francji, ale przygotowała w Europie odpowiedni przyjazny „klimat dla rozpowszechnienia komunizmu".

Powodzenie francuskich komunistów na terenie „ludowego frontu" zrodziło obawy, że „we Francji odbywa się rewolucja w marksowskim znaczeniu tego słowa i że Paryż wkrótce może się stać ośrodkiem nowej międzynarodowej rewolucji". „Republique" nie wierzy w to niebezpieczeństwo, gdyż „ludzie, zdolni do rozumienia wydarzeń, zauważyli z pewnością, że po wyborach majowych w okresie największych sukcesów, „frontu ludowego" społeczeństwo francuskie jednogłośnie wypowiedziało się przeciw interwencji do spraw hiszpańskich. Ten protest — to oczywista oznaka, że Francja nie znajduje się we władzy komunistycznych i marksistowskich tendencji. Tym nie mniej kraj odczuwa w pewnym stopniu tyranię komunistów, którzy się panoszą w fabrykach i przedsiębiorstwach i terroryzują robotników". Dlatego koniecznie trzeba „uprzedzić teror". Trzeba, aby rząd francuski miał odpowiednie środki dla obrony autorytetu władzy. W takich warunkach będzie mogła być kontynuowana rewolucja francuska — rozumna i cierpliwa. Rewolucja, wyrażająca się w tym, że silna władza wprowadza w życie poważne „reformy".

„Action Française" stara się przeprowadzić analogię pomiędzy rewolucją rosyjską i tym, co organ rojalistów nazywa „rewolucją zachodnią".

„I tu i tam walka z „elitą" uważana jest za zasadę. Rządzący Rosją zabijali tych wszystkich, którzy im stali na drodze. Rządzący Francją są bardzo litościwi: im wystarcza, że przeszkadzają inteligencji zarabiać na życie. To wygląda może jak paradoks. Oficjalnie obecna władza wysuwa na pierwszy plan sprawy duchowe narodu, popiera naukę. Tym nie mniej to, co piszemy, jest prawdą".

Oczywiście, że nie cała prasa francuska jest zdania, że rewolucja francuska albo się zaczyna albo się zaczęła. „Exelcior", naprzykład, wysuwa przypuszczenie, że Francuzów straszą tylko rewolucją: „Nie ulega wątpliwości, że w ostatnich czasach szerzy się niepokój w krajach demokratycznych. Komu jest to na rękę? Oczywiście, że nie francuzom zależy na tym, aby wystawa stała się ofiarą sabotażu. Oczywiście, nie Anglicy są zainteresowani w tym, aby były nieporządki w czasie uroczystości koronacyjnych".

„Exelcior" zwraca uwagę na metodę, którą się posługują niektóre państwa europejskie — intrygi i szerzenie niepokoju w obcych państwach.

„Rosja stara się nastraszyć Hitlera perspektywą komunistycznej rewolucji w Niemczech. Z kolei znów, władze sowieckie obawiają się spisków, jakie na ich terytoriach organizują agenci Berlina i Tokio. Byłoby nie rozumnym sądzić, że na terytorium Francji nie stosuje się podobnych metod.

„Intrasigeant" nastrojony jest bardziej optymistycznie: „Syndykat agentów giełdowych opublikował po raz pierwszy dane w ruchach renty na giełdzie. Jest to niezmiernie cenny dokument, dający możność dokładnego osądzenia stanu kredytu w kraju. Ogólna suma renty wynosi 300 miliardów franków, tranzakcje przeprowadza się gotówkowe i na kredyt. Można więc grać na zwyżkę lub zniżkę renty. Sprawozdanie syndykatu agentów giełdowych konstatuje, że kupujących rentę t. zn. grających na zwyżkę jest bezporównania więcej. Na 808 mil. franków kupna jest zaledwie 77 mil. sprzedaży. Znaczy to, że na zwyżkę renty grają w proporcji 10:1. Na każdy frank stawiany przez pesymistów jest 10 franków stawianych przez optymistów. Widzimy więc, że nie bacząc na trudności przeżywane przez kraj, kredyt pozostaje niewzruszony.

„Szczęśiwe" Niemcy

Z okazji 1 maja „święta narodowej pracy", Robert Ley, przywódca „narodowego frontu" zwrócił się do wszystkich pracujących z apelem, aby korzystali z życia.

Według słów Ley'a robotnik niemiecki żyje lepiej niż francuski, rosyjski, holenderski czy inny. Niemcy stały się obecnie pięknym krajem. Nie wierzą w to tylko potwarcy i Żydzi.

Księża — kontynuował Ley — spragnieni są „doliny łez" i całą swą ideologię opierają na doktrynie ziemskich cierpień Oni przygotowują bolszewizm. Są ludzie, którzy oskarżają hitlerowskie Niemcy, stawiając w jednym szeregu bolszewizm i narodowo-socjalizm. „Robotniku, broń swoich Niemiec i korzystaj z życia".

Danke, Herr Ley!

Religijne ruchy w Z.S.R.R.

Krupskaja drukuje w „Izwiestjach" „Uwagi o antyreligijnej propagandzie". Uważa ona, że „dzieci, uczęszczające do cerkwi, prowadzą się lepiej, aniżeli dzieci nieuczęszczające do cerkwi". Jest to dla rodziców „bardzo przykre, gdyż nie wiedzą oni jak naprawić wychowanie dzieci".

Przypuszczenie, że nauki przyrodnicze ośmieszą poglądy religijne, okazało się nieistotne. Dawniej, według zdania Krupskiej, nauki przyrodnicze i astronomia posiadały te właściwości. Teraz jest na odwrót: robotnik opuszcza świeckie planetarium i mówi:

— „Popatrz no, tak wszystko Pan Bóg mądrze stworzy!..."

Wielką szkodę wyrządza, według zdania wdowy po Leninie, zbyt uproszczone podejście do zagadnień kościelnych. Wierzących propagatorzy przedstawiają jako kłamców. „Zapominamy, że niegdyś kościół zajmował się pracą społeczną — opieką nad chorymi, nad dziećmi itd.".

Cerkiew wrosła korzeniami w życie i w historię narodu i tego nie należy lekceważyć.

Szczegół z życia Gogola

Jedna z gazet moskiewkich zamieszcza ciekawą informację z „Istoriczewskawo Wiestnika" z r. 1892. Są to wspomnienia jednego z szkolnych kolegów Gogola. Zabawny jest epizod na lekcji języka rosyjskiego.

„Prof. Nikolskij żądał od swych uczniów wypracowań nie tylko prozą, ale i wierszem. Na jednej z lekcji Gogol przedstawia jakiś wiersz Puszkina zamiast wypracowania. Nikolskij przeczytał. skrzywił się i zabrał się do poprawiania. Kiedy puszkinowski wiersz został całkowicie zniekształcony i zwrócony domniemanemu autorowi z uwagą, że tak pisać to wstyd, Gogol nie mógł nad sobą zapanować i rzekł: „Ale to przecież nie mój wiersz". — „A czyj?" — „Puszkina. Ja specjalnie ten wiersz przepisałem, ponieważ nie można panu nigdy dogodzić. A Pan nawet i Puszkina poprawia".

— No, widzisz — krzyknął profesor — Czy ten twój Puszkin musi dobrze pisać! Masz najlepszy dowód, zobacz, u kogo lepiej wypadło..."

"Żar Ptica" na ekranie.

W najbliższej przyszłości odbędzie się w Paryskim Sądzie Okręgowym sprawa słynnego kompozytora rosyjskiego, Strawińskiego, przeciwko amerykańskiemu towarzystwu filmowemu, które wyprodukowało film pod tytułem „Żar Ptica".

W motywach swej skargi Strawiński podaje, że muzyka jego została zniekształcona wstawkami wiedeńskich walców, z partytury wyjęte zostały poszczególne ustępy, a na domiar złego temat filmu jest sensacyjny i ma minimalny związek z baletem.

Poniesione z tego powodu straty moralne i materialne ocenia Strawiński na sumę 300 tys. franków.

W odpowiedzi na zarzuty Strawińskiego, reprezentantka towarzystwa filmowego, mecenas Susanne Blum, podaje do publicznej wiadomości, że: prawa do sfilmowania „Żar Pticy" Strawiński sprzedał towarzystwu.

Scenariusz, rzeczywiście, jest oparty na policyjnej sztuce Lagosa Zilagi, lecz sztuka ta pod nazwą „Żar - Ptica" grana była 125 razy w Budapeszcie i Londynie, a Strawiński wówczas nie oponował. Wobec czego towarzystwo filmowe uważa pretensje Strawińskiego za nieuzasadnione.

Proces ten wywołał kolosalne zainteresowanie w kołach muzycznych, albowiem roztrząsa tak bardzo ważne dla kompozytorów zagadnienie, czy wolno producentowi dowolnie skracać i zmieniać utwory muzyczne.

KINO

„OD WTORKU DO CZWARTKU" — RIALTO.

Z tematu, jaki jest treścią tego filmu, inny reżyser zrobiłby najbanalniejszy film sensacyjno - kryminalny, pełen niewytłumaczonych morderstw, ciemnych typów, genialnych detektywów, i t. d. Ale reżyser tak wytrawny, jak Van Dyk, dodając do tego wszystkiego źdźbko humoru, okraszając to lekką satyrą, stworzył film nie tylko bardzo interesujący i „stannend" dla amatorów tego rodzaju wrażeń i emocji, ale bardzo zabawny, często niekłamanie dowcipny i w całości bardzo udany, mogący być wzorem zręcznie zrobionego filmu sensacyjnego.

William Powel, jedyny w tego rodzaju rolach, pobudzał do ustawicznego śmiechu swoją spokojną, opanowaną, a jednak zaraźliwą wesołością. Myana Loy, nie mając wielkiego pola do popisu, stworzyła jednak sympatyczną sylwetkę żony „króla detektywów". Dawno nie oglądana Elisa Landi miała parę udanych momentów.

Nad program: ostatnia plaga ekranów warszawskich — polskie tańce ludowe w najprzeróżniejszych układach, wykonaniach, kierunkach. Dlaczego, jeżeli producentom polskich „dodatków" uda się jakiś dobry pomysł, muszą go eksploatować tak długo, aż zmęcza i znudza najlepiej, najcierpliwiej nastrojoną publiczność? Pierwsze parę razy polskie tańce ludowe, oglądane na tle polskich krów i polskiego pochmurnego nieba, podobały się, ale jeżeli zmusza się publiczność od szeregu miesięcy do oglądania tego na wszystkich ekranach stolicy — cóż innego ona może robić, niż klaskać... że się skończyło?

„MAROCCO" ŚWIATOWID

Nowa wersja filmowa „Marocca" budzi zrozumiałe zainteresowanie — co zostało z tego filmu, który kiedyś tak się podobał, a co się w nim zmieniło? I tych, którzy się tych zmian może obawiali — można uspokoić: trudno znaleźć w tym filmie jakieś istotne zmiany. Ta sama konstrukcja, ta sama kolejność scen, to samo ujęcie, te same szczegóły nawet. Po za paroma tualetami Marleny (a też utrzymywanymi w tym samym stylu i nawet nie bardzo uwspółcześnionymi) trudno znaleźć w tym filmie coś nowego.

Ale to nie szkodzi. Film ten, aczkolwiek dziś nie stanowiłby chyba takiej rewelacji, jak parę lat temu, bo po prostu przesunęły się nasze filmowe zainteresowania, czy też może zmieniła się tylko „moda", wytwarza prawdziwy nastrój, przenosi widza w te duszną atmosferę pustynną, pełną niebezpieczeństwa prawdziwego bohaterstwa i jakiejś maskowanej, zmysłowej bezwolności. Konflikt tych ludzi — wykolejeńców, wytraconych ze zwykłego kręgu życia, wyzbytych normalnego, zdrowego podejścia do świata, a jednak pełnych ukrytych uczuć najczystszego, a nawet najszlachetniejszego gatunku — może na pierwszy rzut oka nie bardzo dla nas zrozumiały, a nawet nieusprawiedliwiony, jest jednak konsekwentnie przeprowadzony, psychologicznie dobrze ujęty. Reżyseria w umiejętny sposób wydobyła wszystkie efekty tej atmosfery, której moc podnosiły bardzo piękne, przytłumione zdjęcia, akcentując każdorazowy nastrój.

Marlena Dietrich, dla której film ten był wrotami do kariery, choć dziś jej gra — napoły zimna, napoły zmysłowa — nie jest już rewelacją — potrafiła w odtworzonej przez siebie postaci oddać cechy cierpienia i namiętności.

Gary Cooper, który też w tym filmie awansował na pierwszego „star" Ameryki, wykazał wszystkie rysy swego prawdziwego talentu i inteligencji.

T. S.

List teatralny

Wiedeń w maju.

Pięknie i miło jest wiosną w Wiedniu, położonym u stóp Wienerwaldu, nad którym górują Kobenzl i Kahlenberg. Zazwyczaj w maju wre sezon teatralny w Wiedniu w całej pełni. Natomiast w miesiącach letnich, żaden teatr wiedeński nie wystawi poważniejszej sztuki, choćby pod względem tematyki i inscenizacji jak najciekawszej. Tym razem jednak — nie wiadomo z jakiej przyczyny. — mimo, że tkwimy dopiero w początku pięknegoi łagodnego wiedeńskiego maja. w teatrach wiedeńskich, sądząc z repertuaru, znajdujemy się, jakby w już pełni upalnego lata. Teatry wiedeńskie darzą widza lekko, strawną komedią rozrywkową i farsą.

THEATER IN DER IOSEPHSSTADT

W teatrze Reinharda po dłuższej nieobecności (występy w Burgteatrze wied.) występuje znów Paula Wessely, bez przesady bożyszcze Wiedeńczyków. Gra tym razem rolę tytułową komedii „Ein Mädchen aus gutem Hause". Tak bowiem nazywa się komedia w 5. obrazach, napisana przez Ludwika Zilahy, który w sposób dość zabawny pokazuje nam, jak to młoda i dzielna dziewczyna, uczciwością i sprytem, nie używając swoim protektorom względów swego ciała (piękne i zubożałe wiedeńki mogłyby coś o tym powiedzieć) potrafiła pomóc swej ongiś zamożnej, a obecnie z nędza się borykającej rodzinie. Jak to ojciec — emerytowany urzędnik, matka — gospodyni domu, bez gospodarstwa, i brat — dyplomowany, ale bezrobotny inżynier, znajdują dzięki jej energii pracę ku pełnemu zadowoleniu szlachetnie urodzonych pracodawców, którzy tak bardzo zachwyceni są zaradnością i temperamentem młodej Franzi, że w końcu przebaczają jej użyty podstęp. Franzi (Paula Wessely) przy pomocy, a właściwie pod naciskiem znajomej aktorki (Gessner), którą odwiedza młody, nudzący się na włościach swego ojca, arystokrata (Frey) aranżuje wypadek samochodowy tuż niedaleko magnackiego zamku, dostaje się jako kontuzjowana pod opiekę upatrzonej rodziny, wkrada się w łaski pani domu i w końcu ratuje chylący się ku ruinie majątek ziemski od zupełnej zagłady. Objawszy nadzór nad całym gospodarstwem, obsadza po kolei wszystkie wakujące placówki na dworze swoją rodziną, wprowadza wzorowy porządek, zamieniając deficytowy majątek ziemski w intratny interes. Swoją dzielnością i mocną postawą łamie w końcu i opór starego arystokraty który godzi się na ślub swego syna z „panienką z dobrego, acz mieszczańskiego domu".

Komedia obfituje w zabawne sytuacje, ale na ogół nie potrafił autor wydobyć z tego dość szczęśliwego pomysłu komediowego silniejszych komicznych akcentów.

Obok gry, pełne werwy i typowego swostego wdzięku. Paula Wesselv, należy podnieść cudowną wprost kreacje jednej z najzdolniejszych aktorek wiedeńskich, Gessner, w roli starszawej aktorki.

KAMMERSPIELE DES THEATERS IN DER JOSEPHFSTARDT.

Nowym szlagierem tego sympatycznego małego teatru po ostatnio wystawionej sztuce „Feine Gesellschaft", jest „Das Paradies", komedia w 3 aktach również francuskiego autora André Birabeau. Diagnoza: „pani dostaje dziecko", postawioną przez miłego „wujaszka doktora", rozpoczyna się ta sztuka. Osoba, której diagnoza ta dotyczy, jest sama jeszcze dzieckiem — 16-letnia Leonią, a ojciec — gimnazista André nosi jeszcze krótkie spodenki. Jak mnie informują, wiek ojca, który wedle autora-francuza opiewać ma również na lat 16, został przez cenzurę austriacką ze względów moralności podwyższony do lat 17. Krótkie spodenki, zabawki na imieniny, zachowanie się otoczenia wobec 17 letniego już bądźcobądź André, dla uwypuklenia groteskowości sytuacji mimoto pozostawiono. Z konceptu sztuki, nadającego się raczej dla dramatu, zmontował autor sytuacyjnie dość zabawną komedię, wprowadzając do niej typy (rodzice młodego André), dobrze podpatrzone. Matka André, chcąca na gwałt uchodzić za kobietę pierwszej młodości, czyni wszystko, by nadać synowi wszystkie pozory chłopięctwa. A tu nagle grom z jasnego nieba. Przez noc staje się babką. Czyż można sobie wyobrazić tragiczniejszą sytuację dla kobiety, mogącej żyć i wyżywać się tylko w atmosferze adoracji! Ale w końcu musi i ona skapitulować wobec nieubłaganego faktu i pogodzić się z nim.

Czego nie mógł dokonać posuwający się naprzód wiek, dokonało „przestępstwo erotyczne" syna, które w końcu okazało sik dobroczynne w skutkach: zmitygowało budującą w obłokach flirtu i zabaw matkę i pogodziło skłóconych rodziców.

Rolę nieletniej pary kochanków kreują z powodzeniem naprawdę jeszcze bardzo młoda para aktorów: Frent i Katt. Rolę ojca kreuje głośny Hans Thimig, zaś rolę matki.Bukovics.Komedia ta ze względu na dość śliski temat ściąga co wieczór do Kammerspiele pełną widownię.

JÜDISCHE KÜNSTLERSPIELE.

Z prawdziwą satysfakcją należy stwierdzić, że nareszcie po długiej bardzo przerwie (w Wiedniu grał swego czasu stale Batatow i Deutsch, skupiając wokół siebie zespół aktorów żydowskich o wysokich aspiracjach artystycznych) zawiązał się w Wiedniu pod kierownictwem J. Goldfliessa, teatr żydowski o dość znacznym poziomie artystycznym: w którym miedzy innymi występuje głośny na cały Wiedeń, zdolny aktor wiedeński (jedyny w zespole, grający w języku niemieckim) Leo Reuss Brandhofer. Wprowadził on swego czasu w błąd Josepfsstadteather, podając się za tyrolczyka i grając tamże przez pewien czas w sztuce Schnitzlera „Freulein Else" jako Kaspar Brandhofer z wielkimpowodzeniem. Po krótkim jednak czasie wykryto podstęp Leo Reuss; musiał on obuścić Josepfstadttheater, ale przydomek: Brandhofer zachował. Świadczyć on ma o prawdziwych zdolnościach aktorskich żydowskiego aktora, pozbawionego warsztatu teracy. Leo Reuss Brandhofer gra też po raz pierwszy na żydowskiej scenie w tragedii „Die Sendung Semaels" Arnolda Zweiga w przeróbce i tłumaczeniu żydowskim A Meiselsa. Tragedia ta, osnuta na tle autentycznego procesu o mord rytualny w Tisza Eszlar na Węgrzech urosła pod piórem Arnolda Zweiga do potęgi symbolu;obejmującego, wszystkie wieki żydowskiej martyrologii. Obok realnych postaci z prawdziwego zdarzenia występują w tej tragedii postacie allegoryczne, jak: szatan Semael, prorok Eliahu, Głupota, i in. Role chłopca Moritza Scharfa, fałszywego świadka w procesie w Tisza Eszlar, kreuje niezmiernie zdolna aktorka żydowska, Jenny Lovic, powodując na widowni raz po raz wybuchy szczerego entuzjazmu. Leo Reuss Brandhofer odtwarza rolę nieludzkiego sędziego śledczego, Bary, który naprzemian to katuje, to kusi małego Moritza Szarfa aż udaje mu sie zdobyć go dla swej niecnej sprawy. Po skończonym przedstawieniu zetknąłem sie osobiście z Bradhoferem. Na wyrażone przeze mnie zastrzeżenie co do przejaskrawienia momentów bestjalstwa w jego kreacji odpowiada mi on, że robił to z cała świadomością, chcąc nadać swej kreacji charakter symbolu. Był zawsze bardzo daleki od żydostwa. Teraz po długich latach wędrówki po obcych kulturach, wrócił doń. Jako swą pierwszą rolę w żydowskim teatrze wybrał właśnie demoniczna role sędziego śledczego Bary, by pokazać jak dalece zaślepiony antysemityzm potrafi rozpętać ciemne moce w duszy człowieka, pogrążając w końcu jego samego w otchłani czarnej rozpaczy. (Bary kończy samobójstwem, jak również jego ofiara Moritz Szarf).

Jak więc widzimy, w przeciwieństwie do teatrów niemieckich, — teatr żydowski jest jeszcze daleki od letniej kanikuły.

J. LESER.

Dom lenistwa

W Bostonie otworzono nowe sanatorium pod nazwą „Dom lenistwa". Wszyscy pragnący odpocząć przez parę tygodni w sanatorium obowiązują się najzupełniej nic nie robić. Do dyspozycji jest bardzo liczny personel służby. Najmniejsza praca nie jest dopuszczalna. Nawet listy piszą sekretarki siostry miłosierdzia. Gdy się któryś z gości pragnie umyć musi zawezwać „stewarda z łazienki". Podobno sanatorium to cieszy się tak dużą frekwencją, że należy zamawiać miejsca na parę miesięcy z góry.

Oryginalna jazda

Jak donoszą z Belfastu, zorganizowano tam kursy jazdy samochodowej przy pomocy radia. Instruktor nie pilnuje ruchów swego ucznia, siedząc obok niego, lecz udziela instrukcji z „samochodu nadawczego".

Samochód ten posuwa się w pewnej odległości z autem uczniowskim, w którym zamiast instruktora znajduje się głośnik. Podobno metoda ta jest pożyteczna i wygodna zarówno dla ucznia, jak i dla instruktora.

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.
Cenu ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM. Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o. Redaktor odpowiedzialny: A. KLARMAN.

Druk. B-ci Wójcikiewicz. Warszawa